Nr. 31. Warszawa, dnia 18 (30) Lipca 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od Administracyi

Od wielu naszych abonentów odbieramy skargi i wyrzuty z powodu nieotrzymania przez nich książek, zamówionych lub zapłaconych. Niezależnie od szczegółowych wyjaśnień listowych, oświadczamy tu ogólnie, że powierzone nam obstalunki załatwiamy koleją zleceń bezzwłocznie, oraz prosimy o prędkie zawiadamianie nas, ażebyśmy w każdym wypadku niedojścia posyłki mogli wnieść wcześnie to zażalenie do urzędu pocztowego.

POLITYKA.

Paty du Clam.

Dla tych, którzy nie pozwalają sobie much na nosie zabijać, procesy Esterhazego i Zoli, a głównie procedura, jakiej trzymała się w nich wojskowa i cywilna sprawiedliwość dzisiejszych Francuzów, nie przestały nosić na sobie piętna bezprawia, pomimo powtórnego skazania i jakoby proceduralnej tylko ucieczki z Francyi wrzekomego Woltera XIX wieku i pomimo wszelkich formalnych powodzeń i zwycięztw sądownictwa urzędowego nad nieurzędowem, ale w głębi piersi ludzkiej rosnącem sądownictwem czystego sumienia. Mowa Cavaignaca z d. 7 b. m., jawne napiętnowanie przezeń Esterhazego, wyrażenie, że sąd, który go uniewinnił, działał w przekonaniu, iż niema przeciwko niemu dowodów, opór pewnych biur i osób w ministeryum wojny przeciwko śledztwu sądowemu, prowadzonemu w sprawie „ulana,“ opieczętowanie przemocą w temże ministeryum pewnej grupy dowodów przez sędziego śledczego, Bertulusa — wszystko to owemu bezprawiu, które umysły nie-idyotów i nie-współuczestników wyczuwać muszą z błota ogólnej sprawy Dreyfus—Zola—Esterhazy, nadało kształty wyraźniejsze: w ministeryum paryskiem ukrywa się jakaś banda, która z tych lub owych pobudek systematycznie opiera się rewizyi procesu Dreyfusa, osłania Esterhazego, wrzeszczy na Zolę, peroruje na temat powagi armii i pobrzękuje pałaszami dla odstraszenia głupców i tchórzów, aby nie szli za zdrowym rozsądkiem i zdrowem poczuciem prawdy, ale za nimi.

Jaki mają interes ci przedstawiciele militaryzmu *à tout prix* w sprawie, która logicznie może być jedynie sprawą sumienia i sprawiedliwości? Tylko proces w wielkim stylu, proces dopiero po nakazaniu rewizyi procesu Dreyfusa możliwy, mógłby dać na to odpowiedź; ale takiego procesu spodziewać się nie można po dzisiejszych Francuzach, którzy, jakby okupić chcieli błędy radykalistycznej szczerości swych ojców z Wielkiej Rewolucyi, w jak najpłytszych duszach starają się mieć jak najmniej przekonań, jak najwięcej obłudy, a zamiast ideału —apetyt. I ta Brissoniada dzisiejsza nie lepsza będzie od kuglarstwa p. Méline'a, który w zmowie z partyą wojskową postanowił nie dopuścić światła do ciemnych zakamarków i piwnic. Gdyby inaczej być miało, nie przyszłoby do nieporozumień w łonie gabinetu o Dreyfusa i Esterhazego; po gromie Cavaignaca w Izbie rozległby się grom i w ministeryum wojny; niktby tam nie śmiał się opierać przedstawicielom tej najwyższej, najwyżej w społeczeństwach zdrowych szanowanej władzy, jaką jest sprawiedliwość; nie przebąkiwanoby o możliwem jeszcze zaniechaniu sprawy przeciwko Esterhazemu; sędziowie, którzy, uniewinniwszy go, w końcu przeszłego roku, manifestacyjnie jako prześladowanemu ręce mu ściskali, teraz ze wstydu pochowaliby się chyba pod ziemię: rewizya procesu Dreyfusa byłaby w pełnym biegu — i honor armii i honor Francyi znalazłyby wtedy dopiero istotne swe ocalenie, gdyby im pozwolono wyrzucić z siebie wszystko, co może być niesławą, bezprawiem i niegodziwością.

Takiego ocalenia ani honor Francyi, ani honor jej armii spodziewać się teraz nie mogą: radykalny gabinet Brissona nie zrobi przez tchórzostwo tego, czego zachowawczy, połowicznie tylko republikański gabinet Méline'a nie chciał zrobić przez współczucie. A gdy tak organizacya do działania powołana nie myśli zaradzić złemu, radzić sobie musi samo społeczeństwo po za jej obrębem jako bezładna opinia publiczna — mając do tego naturalny w dzisiejszej cywilizacyi organ — prasę. Ona to właśnie, wywlekając brudy, zdzierając łaty, zrywając szych, naszywany na łachmany, dobierając się do starannie osłanianych tajemnic, pracuje, jak może, w interesie owego podwójnego honoru i w interesie prawdy samej, chociaż w dobrej wierze błędów dopuszczać się musi, a zła wiara tak samo do niej, jak do innych urządzeń i kręgów życia przenikać musi — bo ją przynosi w sobie sam człowiek wszędzie, gdzie się pokaże. Ostatecznie z jej działalności pozostanie jako niezaprzeczony dodatni skutek: rozbudzenie sumienia, protest, jeżeli nie przeciwko rzeczy samej, nieznanej, to przeciwko formom, dla wszystkich jawnym, i choćby prasa niczego więcej w każdej podobnej sprawie nie zrobiła, taka już jej robota sama przez się byłaby dobroczynną i radować by powinna każdego człowieka niepodległego i czystego. W sprawie Dreyfusa czyż nie prasie tylko zawdzięcza lepsza część Francuzów, stwierdzenie tego faktu, że w liczbie dowodów, na mocy których skazano obwinionego, były takie, których wcale ani jemu, ani jego obrońcy nie okazano? A nie jest-że to fakt kapitalny?

Obecnie z prasy pada znowu promień światła na stosunek Esterhazego do pewnej grupy, do owej bandy urzędników ministeryum wojny. *Siècle* świeżo imiennie wskazał jednego z uczestników, który w procesie Zoli głośniej od innych pobrząkiwał i do złudzenia łączył charakter Katona z postawą Marsa. Jest nim pułkownik Paty du Clam. Oskarżenia są takie, że w nich już tkwić musi i przedmiotowe domniemanie prawdy. Paty był wspólnikiem fałszerstw Esterhazego. Oficerem, który zdradził przed Esterhazym tajemnicę śledztwa, był—kto? — Paty. On dawał mu wskazówki, jak ma na pytania odpowiadać, jak się zachowywać; udzielał mu dokumentów z archiwum; on był tą „Speranzą," tą zakwefioną damą przy moście Aleksandra III, która w początkach sprawy, na jesieni r. z., podtrzymywała ducha w odsłonionym już przez samego Cavaignaca niegodziwcu. On to skradł ze specyalnej szafy ministeryum wojny dokument i dał go Esterhazemu. On dyktował mu depesze z podpisami „Blanka" i „Speranza."

Po takiem oskarżeniu samemu Paty du Clam zostaje tylko wytoczenie procesu o zniesławienie. Gdyby tego nie uczynił, stanie się już napół winnym. Samo ministeryum wojny, sam rząd, gdyby ministeryum nie drgnęło, powinien się uczuć skrzywdzonym w swym urzędniku—i wytoczyć proces. Tego tylko chce *Siècle*. Może się rząd zdecyduje, ale znowu, jak za Méline'a — z wyłączeniami. Byłaby to znowu komedya, i dopóki nie odważą się rządcy Francyi na rewizyę procesu Dreyfusa, wszystko, co przedsięwezmą, komedyą tylko być może.

Tydzień polityczny. Miles wysłał już pierwsze oddziały na Portorico. Pod Mayaguez na zachodzie, pod Ponce i Guayama na południu odbywało się wylądowywanie już w początkach bież. tygodnia. Stany Zjedn. chcą koniecznie tę wyspę posiąść; domagają się „oddania" Kuby, „odstąpienia" Portorico, a nadto stacyi na Filipinach. Układy przedwstępne, pośrednie, już na ukończeniu. W Madrycie uważają Portorico za militarnie już utracone. Campos ma być za pokojem. Karliści ruszają się coraz gorzej. Król zapadł na odrę.

D. 22 b. m. Goschen, pierwszy lord admiralicyi, zażądał od Izby gmin 8 mil. f. st. na 4 wielkie pancerniki, 4 krążowniki i 12 anti-torpedówek. Przyznał, że rozwój potęgi rosyjskiej skłania angielską do tych uwojennień, ale dodał zaraz, że Anglia spokojną jest od strony Rosyi, a Rosya sama w stanie niejako konieczności, bo i jej sąsiedzi się zbroją.

Ks. Walii uległ wypadkowi stłuczenia się, który z początku wzbudzał obawy, obecnie już rozwiane.

Niemcy zapowiadają pomnożenie sił lądowych, zwłaszcza piechoty i artyleryi. Ces. Wilhelm zadarł z hr. Ernestem Lippe Biesterfeld, regentem księztwa Lippe, o które ubiegał się dziewierz cesarski, ks. Wilhelm Lippe Schaumburg, dopóki król Albert Saski polubownie pierwszeństwa dzisiejszemu regentowi nie przyznał. Komendant w Detmold, na mocy dawniejszego układu, pruski, nie salutuje przed dziećmi regenta, gdyż sam cesarz nie uznaje ich za dynastycznie prawe, pochodzą bowiem z matki nie z krwi dynastycznej. Na skargę ks. Ernesta odpowiedział ces. Wilhelm opryskliwie. Książę rozesłał wszystkim państwom rzeszy wyjaśnienie sprawy i ma ją poruszyć w radzie związkowej.

Bismarck ciężko opuchł. Przewidywano już skon; ale jeszcze się tym razem wymknął.

W Chinach południowych od miesiąca jakieś rozruchy zbrojne.

Hr. Thun po naradach ze stronnictwami pojechał do Ischl do cesarza i wyjednał zamknięcie Rady państwa. Niemcy spiskują na Gołuchowskiego za wrzekomą serdeczność jego z Francyą. *Deutsches Volksblatt* zapowiada nawet dymisyę.

W nr. 23 *Prawdy* podano z *Prawit. Wiestnika* wiadomość o powstaniu w okręgu Fergańskim. To samo źródło doniosło później: Aresztowano przeszło 400 osób; umieszczono je w miastach Andiżanie, Osze, Namonazaki, Margilanie i podzielono na pięć kategoryj. Sąd wojenny w Andiżanie ogłosił wyrok d. 10 lipca co do najważniejszych. Z liczby 48 dwu uniewinniono, jednego małoletniego skazano na zamknięcie w więzieniu, zaś 45 na śmierć przez powieszenie. Przytem sąd postanowił prosić o zamianę dla 32 skazanych śmierci na zesłanie do robót ciężkich na lat 20, zaś dwu starców: jednego lat 62, drugiego — lat 73, skazał na zamknięcie w więzieniu przez 2 lata. Co do pozostałych 11 skazanych na śmierć, sąd nie uznał za możliwe prosić o złagodzenie kary. Najwyżej złagodzono karę dwom jeszcze skazanym w tej kategoryi, ogółem przeto 34 skazanych na śmierć (z 43) doznało złagodzenia kary. Dziewięciu ostatecznie skazanych powieszono publicznie przy pomocy krajowców. Inne kategorye przestępców sądzone będą wkrótce.

Petersburg, 24 lipca. Książę Bulgarski Ferdynand wraz z małżonką i następcą tronu Borysem przybył z Kijowa na Moskwę do Petersburga d. 22 b. m. D. 23-go był wielki obiad u Dworu, na którym Najjaśniejszy Pan wzniósł po francusku toast: „Piję za zdrowie Ich Królewskich Wysokości Księcia i Księżny Bulgarskich, oraz za zdrowie Mojego drogiego chrześniaka, książątka Borysa, i za rozkwit Bulgaryi." Książę wyraził wdzięczność za życzliwość Najjaśniejszego Pana i za przyjęcie ks. Borysa na łono cerkwi prawosławnej. D. 24-go odbyło się Najwyższe śniadanie, po którem księztwo odjechali z powrotem. Książę otrzymał oznaki orderu św. Andrzeja, księżna — św. Katarzyny. Ks. Borys był d. 24-go na nabożeństwie w cerkwi w willi Aleksandra w Peterhofie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ODSUNIĘCI.

Ludność rolna całego Królestwa Polskiego posiada właściwie jeden organ, ogniskujący nie wszystkie, ale bądź co bądź znaczną część spraw ważnych, dotyczących kredytu. Jest to Towarzystwo kredytowe ziemskie. Nie może ono wchodzić w zakres tych kwestyj, jakiemi się zajmuje sekcya rolna, nie może objąć tych zadań, jakie roztrząsa i przeprowadza każde Towarzystwo rolnicze, ale czuwając nad podstawami bytu rolnictwa, dotyka nieraz bardzo ważnych, zasadniczych spraw i warunków istnienia. Sprawy te, najczęściej poruszane na wyborach, sięgają do sedna bytu i żywo obchodzą dziesiątki tysięcy mieszkańców naszego kraju. Dla tego też słusznem jest wymaganie, ażeby instytucya owa uwzględniała i równoważyła wszystkie potrzeby.

Czy tak jest w rzeczywistości? — Weźmy jedną, niezmiernie ważną kwestyę. Jak wiadomo, skala opłat od pożyczek i kosztów jest równą dla wszystkich stowarzyszonych. Tymczasem ustawa głosi, że ci tylko mają prawo uczestniczyć na wyborach, być wyborcami i wybieralnymi, którzy na swoich dobrach mają 3.000 rs. pożyczki. Mniejsi zaś stowarzyszeni, tj. ci, którym niewielka ilość ziemi nie pozwala zaciągnąć pożyczki w sumie powyższej, są zupełnie odsunięci od spraw, dotyczących bytu ludności wielotysięcznej. Ograniczenie to wprowadzono r. 1892 w tym celu, ażeby wybory nie „zdemokratyzowały się" zbytnio, żeby „szare gromady" stowarzyszonych nie stały się narzędziem w rękach ambitnych i wpływowych jednostek podczas wyborów. Tak pojęto u nas potrzeby życia publicznego w zakresie ekonomicznym. Taki stan rzeczy nietylko nie zgadza się z wymaganiami sprawiedliwości, ale wprost krzywdzi liczne rzesze mieszkańców kraju. Słusznie też ktoś w liście otwartym do Towarzystwa kredytowego ziemskiego upomina się o tę krzywdę: „Można było — mówi on — pogodzić rzeczy w ten sposób, że zamiast od 3,000 pożyczki, zacząć prawo uczestniczenia w stowarzyszeniu od jednej np. włóki własności, obciążonej pożyczką. Najpierw włościanin lub kolonista, który posiada włókę ziemi, ma wszelkie prawo zająć miejsce w gronie stowarzyszonych; nie jest to już proletaryusz, plebs, lecz obywatel kraju, godny zajęcia należącego mu z prawa miejsca społecznego. Jeżeli jest jeszcze ciemny, należy go oświecić i podnieść duchowo, a właśnie ludzie wyrabiają się przez przypuszczenie do praw społecznych, jak jest za granicą. Z drugiej strony, wobec grasującej parcelacyi większych majątków ziemskich, pożądanem jest ratowanie dworu z kawałkiem ziemi, którą zwykle posiada inteligencya. Istotnie, w ostatnich czasach wytworzył się, dawniej nieznany, typ małych folwarków, jedno lub kilkowłókowych, uratowanych przy parcelacyi całych obszarów."

Otóż te wszystkie małe folwarczki mają wprawdzie pożyczkę Towarzystwa kredytowego ziemskiego, ale w sumie niedochodzącej do 3,000 rs., zatem właściciele tej kategoryi są pozbawieni przywilejów służących tym, którzy więcej zdołali zagarnąć pieniędzy pożyczkowych, dzięki większym obszarom gruntów. Tymczasem owi „drobni" w znacznej części nietylko są dobrymi gospodarzami, ale jako ludzie światli, wykształceni i doświadczeni, umieją jasno i rozumnie patrzeć na sprawy życia i gdyby mogli użyć tego wpływu i praw, jakiemi rozporządzają ludzie nieposiadający odpowiednich kwalifikacyj, podstawy bytu ludności rolnej zyskałyby niejedną cegiełkę. Według przypuszczalnych obliczeń, Królestwo Polskie posiada owych folwarczków około tysiąca, a więc i taką liczbę ludzi pożytecznych Towarzystwo odsunęło od tych przywilejów, które im się należą stanowczo. W imię tedy dobra kraju należałoby zmienić prawo wyborcze w ustawie tej instytucyi.

Autor listu otwartego, chcąc pogodzić potrzebę rozszerzenia owych praw z obawami zbytniego zdemokratyzowania zebrań wyborczych, proponuje wprowadzenie nowej zasady w takiej formie, że ci tylko mają prawo uczestniczenia w wyborach, być wyborcami i wybieralnymi, którzy posiadają ziemi najmniej jedną włókę miary nowopolskiej, przy zwykłem zastrzeżeniu prawa wybieralności na urzędy Towarzystwa, jeżeli ich własność nie jest obciążona długami, równającymi się więcej niż połowie szacunku hypotecznego.

Towarzystwo może tę reformę bardzo łatwo wprowadzić, zwłaszcza że ma pewne przywileje, pozwalające udzielać pomocy kredytowej także włościanom. Przywileje te wzmocniło świeże wyjaśnienie senatu. Jak wiadomo, ziemia nadana włościanom, nie może być sprzedawana ludziom innego stanu. Zakaz ten obostrzono w r. 1891, mianowicie w ten sposób, że Żydom bezwarunkowo wzbroniono nabywania osad włościańskich, choćby nawet w danej miejscowości istniały rozporządzenia specyalne, dozwalające na wyjątek. Towarzystwu kredytowemu wolno jednak od r. 1871 dawać pożyczki na osady włościańskie, jeżeli te obejmują najmniej 90 mórg i posiadają własne księgi hypoteczne. Ustawa przytem głosi, że własność, obciążona długiem Towarzystwa, nie może przy sprzedaży przymusowej podlegać żadnemu ograniczeniu. Z tego powodu wytworzyła się bardzo powikłana sprzeczność. Mianowicie nie można było zrozumieć i określić jasno, czy prawo z r. 1891 zmienia ustawę Towarzystwa, czy też wyłącza osady, które zaciągnęły pożyczkę w Towarzystwie i są sprzedawane przez licytacyę. Wątpliwość ta ujawniła się w życiu praktycznem 1894 r., gdy Towarzystwo wystawiło na sprzedaż osadę Kirmiszki w gub. Suwalskiej i gdy do licytacyi stanęli Żydzi. Regent usunął się, a sąd okręgowy i izba sądowa uznały jego krok za słuszny. Sprawa oparła się o senat, który dopiero teraz wyjaśnił, że prawo z r. 1891 nie zmieniło ustawy Towarzystwa, że na osady włościańskie, obejmujące 90 mórg, instytucya ta może udzielać pożyczki i sprzedawać bez ograniczenia nabywców. Tym sposobem prawo udzielania kredytu włościanom utrzymało się w całej rozciągłości. Pradwa, że osada 90-morgowa to już nie typowa posiadłość włościańska, to już „majątek,“ tylko tyle że nie szlachecki lub nie mieszczański. Towarzystwo ma prawo skorzystania z szerszych granic kredytu, a więc powinno uwzględnić także osady mniejsze, niż 90-morgowe. W ten sposób ludność, pozbawiona pomocy kredytowej, lub posiadająca ją w teoryi, za labiryntem formalistyki, pozyskałaby bardzo ważny czynnik rozwoju ekonomicznego i przynajmniej skrawek praw „obywatela kraju,“ godnego zajęcia jeżeli nie „miejsca społecznego,“ to przynajmniej jego kącika.

Wogóle lud nasz jest odsunięty od tych wszystkich ognisk, które mogłyby wciągnąć go do ogólnej, właściwszej organizacyi bytu, podnieść jego produkcyjność, intensywność pracy, oświatę i kulturę. Niedawno przypadkiem jakiś zamożny kmieć-pszczelarz dostał się na posiedzenie Towarzystwa ogrodniczo-pszczelniczego i, ku wielkiemu zdumieniu reporterów, mówił rozsądnie i poprawnie, podczas dyskusyi wypowiadał bardzo trafne uwagi. Taka właśnie nić, zadzierzgnięta między ogniskiem ekonomicznem a ludem, mogłaby nietylko wykryć więcej „rozsądnych“ i „mówiących poprawnie“ chłopów, lecz wytworzyć owe zalety śród tych mas, które ich nie posiadają. Nasi ziemianie umieją gromadnie zwiedzać wzorowe gospodarstwa włościańskie, podziwiać je i składać powinszowania tym wyjątkowym gospodarzom, ale nie umieją, czy też nie chcą zwerbować ich na członków np. sekcyi rolnej, która przecież w ostatnich czasach zajmuje się dość żywo sprawami bytu ludności włościańskiej. Pielęgnowanie słabych zarodków przemysłu domowego przez jedną delegacyę, nieposiadającą dużo środków, lub udzielanie nagród za wzorowe gospodarstwa, to są pierwsze kroki stosunku instytucyi do ludu, niewątpliwie bardzo ważne, ale jeszcze niedostateczne. Warto się postarać o jego rozszerzenie i utrwalenie. Wielkie i bardzo wdzięczne pole oraz prawo do działania w tej mierze posiadają cztery nasze instytucye: Towarzystwo kredytowe ziemskie, Sekcya rolna, Towarzystwo ogrodnicze i Tow. pszczelniczo-ogrodnicze.

LISTY PETERSBURSKIE.

Zaniechanie reformy. — Stróże trzeźwości. — Potrzeba ludzi. — Następstwa monopolu — Udział społeczeństwa. — Bezpieczeństwo publiczne. — Na czem powinna polegać reforma sądownictwa w oświetleniu *Graždanina*.

K. Meszczerskij znany jest ze swego wstecznictwa wogóle, pod każdym zaś względem, ile tylko razy chodziło o jakiekolwiek reformy społeczne, mające na celu powszechny dobrobyt ludności i naprawę urządzeń, zawsze występował on wrogo. Obecnie wielką mu radość sprawiła wiadomość następująca, podana przez *Wilenskij Wiestnik*: Ziemstwa nie będą wprowadzone w prowincyach północno-zachodnich, cała zaś reforma poprzestanie tam tylko na stworzeniu posad naczelników ziemskich, sędziów miejskich i członków sądów powiatowych. Z tego powodu redaktor *Graždanina* przedewszystkiem zaznacza, że kraj spokojny nie doczeka się instytucyj zbytecznych, „które musiałyby na długo i w granicach nieokreślonych zakłócić spokój tych gubernij i zachwiać ich dobrobyt. Cofnięcie reformy uwalnia kraj cały od choroby, zjadającej siły państwa. Rosyanin powinien się cieszyć, że ministeryum spraw wewnętrznych wyrzekło się w danym wypadku miłości własnej i w chwili ostatecznej rzuciło okiem na reformę z punktu widzenia interesów państwowych, patryotycznych i miejscowych. Oby zawsze zastanawiano się nad reformami w ten sposób, że urzeczywistnienie ich może przynieść więcej szkody, niż pożytku. Życie państwowe, które przez gorzkie doświadczenie przekonało nas wymownie, jak łatwo zastosować dane urządzenia, a jak trudno je znieść, gdy są nieodpowiednie, to życie dużoby zyskało na takiej rozwadze.“

Tym razem i my podzielamy radość *Graždanina*, ale nie z jego punktu widzenia. O ile w ostatnich czasach można było wywnioskować, samorząd ziemski w guberniach północno-zachodnich nie miałby prawie nic wspólnego z takiem urządzeniem w głębi państwa. W toku rozpraw nad reformą poczyniono różne zastrzeżenia, które miały zmienić organizacyę ziemską do tego stopnia, że tylko pozostałaby sama nazwa. W takiej postaci nie przyniosłaby ona żadnego pożytku krajowi, a nawet mogłaby wytworzyć przykre warunki. Ziemstwo w całej rozciągłości działające jest urządzeniem wybornem i pożądanem. Stosowane zaś z niego tylko *wyjątki* i to ze względu na *wyjątkowe* warunki, mogą mieć charakter obosieczny.

Obosieczność taką widzimy także w innych urządzeniach, niedokładnie zastosowanych w życiu. Fejletonista *Birž. Wied.* podaje następujące zdarzenie: „W jednem z miasteczek nadwołżańskich postanowiono stworzyć Towarzystwo wstrzemięźliwości. Zebrali się tedy wstrzemięźliwi, otrzymali ustawę i wszystko co trzeba. Oznaczono termin otwarcia instytucyi i z tego powodu dano obiad, a na obiedzie... wszyscy wstrzemięźliwi spili się do utraty świadomości.“

Jest to fakt już po niezliczone razy stwierdzający, że do wszelkiego rodzaju działalności społecznej potrzeba *ludzi*, w całem słowa tego znaczeniu. Na to, niestety, bardzo często nie zwraca się wcale uwagi.

Sprawa monopolu i trzeźwości, tj. sprzedaży trunków i jednocześnie czuwania nad tem, ażeby owych trunków nie pito, wywołała różne powikłania i rozbieżności, których nie można było przewidzieć. Pewną stronę tych zjawisk oświetla *Ruskij Listok*, mówiąc o następstwach monopolu w guberniach północno-zachodnich. Jak wiadomo, handel trunkami był od wieków w rękach Żydów. Wprowadzając tak ważną reformę, jak wycofanie z rąk prywatnych olbrzymiej, szeroko rozrośniętej gałęzi handlu, dano pewne „indemnizacye“ miastom, osobom mającym różne przywileje i prawa propinacyjne. Nie dano tylko nic owym szynkarzom, którzy byli niebezpiecznymi pasorzytami organizmu ludowego. Nie dano, bo to byłoby i niemożliwe i niewłaściwe ze stanowiska reformy. Owi jednak procederzyści, pozbawieni nieraz podstaw bytu, musieli sami sobie wywalczyć jakiś grunt odpowiedni, nie bardzo różniący się od poprzedniego. Na ten właśnie nowy proceder w guberniach północno-zachodnich zwróciło uwagę pismo powyżej wzmiankowane, które niejednokrotnie występowało przeciwko „reglamentacyi“ życia mas i zbytniemu wglądaniu w ich stosunki. Obecnie na mocy faktów przyszło ono do wniosku, że jeżeli nie można zabronić Żydowi kupowania od włościan wszystkiego, co się nadarzy, i to za bezcen, „tem bardziej nie można zabronić pełnoletnim i wolnym włościanom sprzedawania lub zastawiania swego dobytku za cenę przez nich samych dowolnie niby określoną. Jeżeli w sklepie rządowym nie dają wódki na kredyt, lecz tylko za pieniądze, których włościanin nie posiada, to nie można mu zabronić zdobycia pieniędzy w sklepiku żydowskim, bądź drogą sprzedaży, bądź nawet zastawu ruchomości.“ Nie można! Ale trzeba na to zwrócić uwagę należytą i przeciwdziałać złemu.

Ruskij Listok przy sposobności wystąpił przeciwko Polakom, właścicielom ziemskim, którzy podobno, pomimo wezwania władz, nie chcieli wziąć udziału w pracach komitetów trzeźwości. Czy tak jest istotnie, nie wiemy. Prędzej moglibyśmy przypuścić, że to zaproszenie, czy też wezwanie, nie doszło do rąk właściwych. W każdym razie jak najszerszy udział społeczeństwa w tej pracy jest bardzo pożądany i na to właśnie sfery rządowe już położyły nacisk w chwili obecnej. Pisała już o tem *Prawda* w numerze poprzednim. Obecnie więc tylko poprzestaniemy na bardzo trafnych uwagach *Birżewych Wied.*, wypowiedzianych z powodu zamierzonego wzmocnienia sił kuratoryów trzeźwości:

„W obecnym stanie rzeczy—pisze dziennik — kuratorya składająca się wyłącznie z osób urzędowych, które już bez tego są obarczone mnóstwem obowiązków i dla których sprawa ta jest tylko nowym ciężarem. Tutaj nie może być nawet mowy o samodzielności społecznej, o gorącem spełnianiu przyjętych obowiązków i o ener-

gicznej wytrwałości; nie mówimy, rzecz prosta o wyjątkach, które potwierdzają tylko regułę. Gdyby sprawa miała pozostać w obecnym stanie, wszystkie te komitety byłyby skazane na martwotę biurokratyczną wśród papierów kancelaryjnych i tysiąca zbytecznych formalności.

Bez energicznego poparcia i impulsu ze strony sił społecznych kuratorya mogą pozostać tylko formą bez treści. Nieodzowną jest też rzeczą otwarcie drzwi dla swobodnego i szerokiego przypływu sił społecznych. Tylko wtedy w kuratoryach rozwijać się będzie stała praca organiczna ku dobru tej sprawie, której mają służyć; tylko w takim razie możebna w nich będzie wymiana energii, tradycyjne przekazywanie i dziedziczenie zdobytych doświadczeniem wyników; wszystkie bowiem osoby urzędowe są mniej lub więcej obce danej miejscowości i przeważnie przebywają w niej niezbyt długo. A bez takiej ciągłości, bez takiego organicznego wzrostu, trudno myśleć o prawidłowym rozwoju kuratoryów i o zaprowadzeniu w nich pewnej rutyny na niwie walki z pijaństwem i nieodstępnej walki z ciemnotą."

Ale pijaństwo i ciemnota, to nie są jedyne klęski społeczeństwa. Z jednego źródła pochodzą i w parze z niemi idą przestępstwa wszelkiego rodzaju — klęski powszednie, jak rozboje, rabunki i kradzieże. Przed kilku tygodniami pisma nasze zamieściły smutny i znamienny fakt napaści opryszków na Saskiej Kępie w Warszawie na towarzystwo, złożone z *kilkudziesięciu* osób. Otóż *Ruskij Listok*, zacytowawszy wypadek powyższy i wiele innych faktów, wysnuł z nich następujące rozmyślania:

„Wogóle, bez obawy o przesadę, rzecz można, że bezpieczeństwo publiczne stoi na nader nizkim poziomie, niższym bodaj, niż przed laty pięćdziesięciu. Są to rzeczy bardzo smutne, gdyż bezpieczeństwo osobiste i majątkowe, to pierwszy warunek rozwoju społeczeństwa i jego zasobów materyalnych. Ochrona tego bezpieczeństwa, to zadanie główno władzy państwowej.

Widzimy, że państwo spółczesne rozszerza swoje zadanie i granice działalności. Nie mówiąc o tem, że wyzyskuje samo drogi komunikacyi, że pod formą różnych monopolów jest gospodarzem w przedsiębiorstwach handlowych, wgląda ono we wszystko i w tak szerokim zakresie, że przez swych agentów handluje w sklepach herbatą, trunkami itp.

Wnika w stosunki pomiędzy dorosłymi i do działań prawnych zdolnymi pracodawcami a robotnikami i zabrania dłuższej pracy nad pewną, określoną liczbę godzin, chociażby nawet robotnicy sami chcieli pracować dłużej. Szkodliwe to bowiem dla stanu ich zdrowia. Widzimy więc, że zadania władzy państwowej są aż nazbyt skomplikowane. I pomimo woli nasuwa się pytanie, czy tylko nie dlatego bezpieczeństwo publiczne jest tak bardzo niezapewnione, że organy władzy zbyt wiele rzeczy biorą na siebie, zbyt komplikują zadania swe i cele? Czy nie lepiej byłoby, postarać się o zaspokojenie elementarnych całkiem obowiązków, chociażby tylko w sferze uczynienia zadość bezpieczeństwu publicznemu, leżącemu na policyi? Corocznie liczba urzędników się zwiększa, a instytucya, tak potrzebna dla społeczeństwa, jak policya, nie jest odpowiednio zorganizowaną. Czy nie zbytnio rozpraszamy się w sferze spraw państwowych?

Nie sama tylko niedokładność organizacyi policyi jest powodem takich faktów, że pod Warszawą banda rabusiów trzyma w oblężeniu zgromadzone towarzystwo. Znaczna część winy wynika z kar zbyt łagodnych, z pozostawiania na swobodzie jednostek, bezwarunkowo szkodliwych i niebezpiecznych. Nad tem należy zastanowić się głębiej, a być może, znajdziemy powód główny faktów, które notuje smutna kronika wypadków."

Uwagi te są charakterystyczne, ale nie pod każdym względem słuszne. Państwo musi wnikać w wiele urządzeń społecznych i ekonomicznych, musi samo nieraz ster utrzymać, bo w przeciwnym razie samowola wyzysku i nadużyć nie miałaby końca i granic. Chodzi tu raczej nie o cele zasadnicze, ale o sposób ich wykonania. Co do surowych kar, nie usuną one złego. Nie skutki, lecz przyczyny trzeba usuwać.

Nie możemy pominąć jeszcze jednej niezmiernie ważnej i żywotnej kwestyi ogólnej, poruszonej w prasie rosyjskiej. Pod wpływem różnych przygotowań do przejrzenia sądownictwa, p. Szyłowskij w *Graždaninie* bardzo przekonywająco wyłuszcza potrzeby reformy i na poparcie swych twierdzeń podaje z praktyki sądowej mnóstwo faktów formalistyki, która osłabia zadania i cele tej instytucyi.

„Pozbądźmy się prędzej tego smutnego typu zahukanego sędziego-kancelisty, tego urzędnika bez znaczenia i powagi należytej w stolicy i prowincyi, tego człowieka zależnego materyalnie. Coprędzej wytwórzmy typ sędziego, który nie dba o swoje jutro, urzędnika wyposażonego w silną i legalną władzę, którýby, zgodnie z wolą Cesarską, utrwalał wszędzie miłość dla prawa i legalności.

Takiemu sędziemu można będzie bez obawy powierzyć osobę i majątek obywateli, bez względu na ich stan, rozwój umysłowy i pretensye, zanoszone przed kratki sądowe. Innego sposobu wyjścia niema.

Taki organ, któremu władza państwowa może więcej ufać, niż niedojrzałemu jeszcze kandydatowi do posad sądowych, mniej będzie poddawał się kancelaryzmowi i formalizmowi. Działając ustnie, jawnie i możliwie bez pisaniny, organ taki może bez zmęczenia załatwić się z pracą, leżącą obecnie na kilku sędziach. Będzie on nawet mniej kosztował, niż obecni zabiedzeni a liczni funkcyonaryusze sądowi. Znieście prawo bezsensowego i nieznającego granic zaskarżania wyroków. Niech sędzia w drodze karnej odpowiada za wyrok nielegalny. Odpowiedzialność uczyni go ostrożnym, sprawiedliwym i ścisłym w pracy. Niech nareszcie cały balast przeróżnych „interpretacyj" będzie wyrzucony, niech nie prawo, lecz sędzia, obdarzony wysokiemi zaletami moralnemi decyduje o tem, co w danym wypadku może być dozwolone oskarżonemu, co winno służyć oskarżającemu i obrońcy, a czego należy odmówić stronom. Tylko taki sędzia zdolny będzie i może urzeczywistnić wielką zasadę Cesarza Aleksandra II, dążącego do dania ludności sądu sprawiedliwego, szybkiego, dostępnego i łaskawego, a sąd dzisiejszy nie jest sądem, interesującym się pokrzywdzonym i nie broni zasady poszanowania prawa."

Paweł Krzyżanowski.

Z GALICYI.

Wypaczenie stosunków galicyjskich. — Co robi Wydział krajowy i p. Stanisław Badeni w celu naprawy złego. — Hr. St. Tarnowski, jego sądy i rady ukryte. — Hodowla obojętnych ludzi w Galicyi. — Kilka słów o szkole wogóle. — Projekty stańczykowskie, dążące do ogłupienia ludu.

Rozpoczęło się budzenie Galicyi z długoletniego uśpienia konstytucyjnego. Dziwnem i politowania godnem jest to społeczeństwo, odcięte od wielkiego pnia i pielęgnowano przez nie „kulturę niemiecką." Doświadczenia uczonych naturalistów przekonały nas, że można u zwierząt niższej organizacyi fizycznej sztucznie kształcić pewne organy lub ich części. Oczywiście skutkiem tego zwierzęta tracą zdolność normalnego życia i rozwijania się. Coś podobnego dzieje się także w świecie umysłowym. Społeczeństwo tutejsze, wychowane w ciasnem kole państwowych interesów austryackich, długi czas nie wierzyło w nieprawidłowość istniejących stosunków, i nie dziwnego: uczyło się w szkole, że wszystko, co istnieje w Austryi, jest doskonałem. Patrząc codziennie na spaczone życie, wierzono, że tak być musi, że wszystko jest w porządku. Jeżeli znalazł się ktoś, kto z jakichkolwiek powodów dostrzegł nieprawidłowości, a co gorsze, miał odwagę głośno o tem powiedzieć, wówczas wszyscy kulawi, ślepi lub uparci, gotowi byli ukamienować zuchwalca. A jednak smutna prawda pozostała prawdą: Austrya cofnęła nasz postęp narodowy o wiele lat i uczyniła społeczeństwo tutejsze jałowem.

Nie dalej, jak przed kilku miesiącami, *Nowa Reforma*, szukająca nowych panów i protektorów, brutalnie gniewała się o to, że korespondent *Prawdy* śmiał posądzać nietylko Wydział krajowy, ale jego najwyższego kacyka, p. St. Badeniego, o bezczynność, pomimo pozorów wielkiej ruchliwości. Ton, ruszanie się, pisanie okólników, kontrolowanie dyet i godzin biurowych, jeszcze nie jest pracą społeczną i narodową. Dziś, kiedy złe już się stało, kiedy tłumione w duszy ciemnego i ubogiego chłopa niezadowolenie wybuchło, poczęły się odzywać głosy — bynajmniej nie uwielbienia dla marszałków i autonomii. „Nad głową gorejo — powiada *Słowo* — a oni bibuły rozsyłają." Kiedy trzeba coś począć, ażeby złemu zaradzić, wszyscy rozglądają się za ludźmi czynu— i, niestety, niema ich! Wydział krajowy wydaje dekrety i pisze okólniki, a ludzi, którzyby, względnie do swego wysokiego stanowiska, akcyę ratunkową rozpocząć mogli w duchu obywatelskim — niema. Mamy Wydział krajowy jako najwyższą instytucyę, powołaną do ochraniania interesów krajowych, przez sejm wybraną i działającą w imieniu sejmu — cóż ona robi? Gdy kraj wymaga uspokojenia przez naprawę złego, akcyę w tym kierunku prowadzą nie obywatele, lecz wojskowe władze polityczne, państwowe. Nie słyszeliśmy dotychczas o żadnym czynie, podjętym przez reprezentacyę kraju, a a przecież ona zawiniła najbardziej, bo milczeniem swojem aprobowała stosunki istniejące.

Gdy Wydział krajowy i jego najwyższa reprezentacya nie usiłowała nawet zbadać i ująć w pewne ramy bliższych i dalszych przyczyn rozruchów i niezadowolenia, zapoznać z niemi społeczeństwo, ażeby poznawszy je, rozpocząć naprawę złego, w publicystyce galicyjskiej odezwały się gorące i obywatelskie głosy obok — rozmaitych Tarnowskich wielkich i małych, a trzeba przyznać, że głosy tych ostatnich są liczniejsze. Nie są one ujęte jeszcze w żadne formuły, odznaczają się jednak niesłychaną płytkością sądu, bezwzględną kastowością, bardzo bolesnem sobkostwem wobec zaszłych wypadków, a duch, jaki z nich wieje, nosi nazwę — reakcya. Stańczycy idą zawsze śladem tego rozumowania, że gdy się stał pożar, który mienie i spokój tysiąca ludzi zniszczył, winien jest wiatr, bo wiał na szeregiem stojące chaty, nie zaś nieostrożna ręka lub głowa, która go wywołała. Najmniejszą bliższą przyczynę biorą oni za najważniejszą. Skutkiem tego pokutuje stronnictwo ludowe, Stojałowczycy.

W duchu reakcyjnym przemówił arcymistrz galicyjskiego konserwatyzmu, hr.

St. Tarnowski. Mimowoli przychodzi mi na myśl JMć pan Pszonka, jego Rzeczpospolita Babińska i jego system mianowania dostojników. Ale — mniejsza o to. Stworzywszy sobie *a priori* bałwana, którego nazwał „zbytkiem wolności" — austryackiej oczywiście (gdy jeden mówi, dwóch ciągnie go za poły, aby milczał)— jako też „owocem liberalizmu," usiłuje dowieść, że ów bałwan zawinił wszystkiemu. On to zrodził „element burzący," „opiekunów ludu ubranych w wilczą skórę," którzy pod postacią „Daszyńskich, Stapińskich, Danielaków, Stojałowskich" wywołali nieszczęście w kraju. Już samo zestawienie tych nazwisk w jednym szeregu jest grochem z kapustą. Nie o to wszakże w tej chwili chodzi, lecz o stanowisko p. hrabiego-prezesa. On obwinia rząd austryacki, ale o co? P. Tarnowski lubi myśli swoje — niezbyt ponętne — rozprowadzać wodą frazesów literackich. To samo czyni on i w artykule swoim w *Przeglądzie* polskim, a właściwie *Przeglądzie* konserwatywnym, poszukując przyczyny zajść czerwcowych. Wyliczywszy wrzekome nadużycia w prasie — niestety, tak rzadko w niej odzywa się głos obywatelski — nadużycia żywego słowa na wiecach, nahałasowawszy na rząd o to, że pozwolił szerzyć pewne pisma, obwinił go o „niespełnianie swego obowiązku." Cóż to znaczy? Na czem polegało spełnienie obowiązku? Odpowiedzi Tarnowski nie daje, ale jest ona i bez jego słów widoczną. Konstytucya, która na to wszystko pozwala, jest oczywiście złą, a jeżeli jest złą — ergo: proszę tylko mnie postawić na miejscu Thuna, a ja sobie poradzę.

Takie to hasła rozbrzmiewują w Galicyi po trzydziestu pięciu latach pracy autonomicznej, z ust dygnitarzy nauki, najwyższych przedstawicieli kraju. Utylitarne i wstrętnie sobkowskie stanowisko stańczyków do naprawy *powszechnie* złych stosunków nie przyczyni się w niczem i jest bardziej jątrzące dla tych, którym odrobinę bodaj sumienia publicznego zostało, niż wszystkie mowy Daszyńskiego i Stojałowskiego dla ludu. A głos ten nie jest bynajmniej głosem odosobnionym. Echa jego powtarzają wszyscy pachołkowie reakcyi, którzy jedzą chleb, nie troszcząc się o to, czyja ręka im daje, gotowi zawsze do całowania jej i do popierania. To gorsze, niż rozruchy żydowskie, bo to daje świadectwo o zgniliznie społecznej, o braku uczuć obywatelskich; to są rezultaty „kultury krajowej," świadczące o tem, co szkoła galicyjska produkuje. Galicya cała—przepełniona ludźmi obojętnymi. Proszę zliczyć wszystkich radców, profesorów uniwersytetów, szkół średnich, urzędów politycznych, reprezentowanych przez sądy i starostwa, ci wszyscy, zamiast poznać złe, narzekają na tych, którzy im spokój mącą. Ta falanga obojętnych, to zaraza u podstaw, bo oni przedstawiają materyał zdatny do wszystkiego. Szkoła wypędziła z ich głowy szersze myśli, z ich duszy ideały — a co ważniejsze, oni, przeżuwając ten chleb austryacki, chlubią się wrzekomą swoją trzeźwością. Tego, co się nazywa winą w pojęciu prawnem, w nich niema, bo czyż można przed sąd powołać gromadkę bakteryj, które wywołują fermentacyę i zgniliznę? Nie, a jednak one szerzą zgniliznę, a rozumny budowniczy zapobiega jej, nasycając drzewo środkami antyseptycznymi. Dante widział wszakże w ludziach „obojętnych" wielką winę moralną i dlatego przeznaczył dla nich zupełnie osobne miejsce w piekle. Jeżeli nasi „obojętni" w piekło wierzą, znajdą się tam wszyscy i zwołają ku swojej pociesze — sejm galicyjski.

Gdy przeto arcymistrz galicyjskiego konserwatyzmu doradza mniej więcej skasowanie konstytucyi, satelici stańczykowscy, wyszli ze szkoły Bobrzyńskiego, bawią się w reformatorów edukacyi. Szkolnictwo w Galicyi jest piętą Achilesową całej pracy społecznej i jeżeli coraz gorsze są rezultaty dążeń, usiłowań i zasług obywatelskich, to tylko dlatego, że szkoła staje się coraz bardziej miejscem, przeznaczonem na wsuwanie do głowy nie myśli, lecz podręczników. Poziom jej moralny obniżył się bardzo. Można śmiało powiedzieć, że młodzież szkolna ma dużo dobrych nauczycieli, ale niesłychanie mało dobrych przewodników. Szkoła i młodzież nie stanowią jednego ciała, lecz dwa obozy walczące z sobą, a co jest tem boleśniejsze, że to są dwa bratnie obozy, że to są walki ojców i synów. A idzie coraz gorzej. Przewódcy społeczeństwa galicyjskiego, upatrzywszy w szkole czynnik szkodliwy dla jego rozwoju, dążyli i dążą do zamknięcia jej dla pewnych warstw i pewnych klas społecznych. Ponieważ dla ubogiej ludności trudno było uczynić to jawnie, zamknięto ją ograniczeniem dostępu, przez obciążenie warunków istnienia i utrzymania się młodzieży. Zamiast uszlachetniać jej głowę i serce — uszlachetniają jej ubranie. Kubrak chłopski i buty nie mogą wejść do spanceszonej szkoły, nie mogą sąsiadować z „lajbikiem" i spodniami *a la militaire* paniczyków i ich przyjaciół, a zamiast pedagoga stoi często na czele zakładu feldfebel w mundurze radcy i ustrojony w ugalowane „czako," patrzy na uczniów okiem inkwizytora, szukającego w młodych duszach „myśli zbrodniczych." Taka instytucya, jak Rada szkolna, nawskróś edukacyjna, polska, obdarzona autonomią obszerną, rozpoczęła reformy od wprowadzenia patryotyzmu austryackiego śród młodzieży polskiej i zamiast podnieść szkolnictwo moralnie i umysłowo, zraziła ku sobie wytrawnych pedagogów, piękne i zaszczytne stanowisko nauczyciela wiejskiego uczyniła wstrętnem dla każdego prawego człowieka, a co gorsze, wywołała w znacznym odłamie sił nauczycielskich jawną walkę przeciwko sobie. Pracę jej nazwał niedawno jeden z wybitnych znawców szkoły „pracą Danaid" — i miał słuszność. Ożywiana formalizmem beztreściwym, a pozbawiona ducha obywatelskiego, mało przynosi pożytku. To też jedni narzekają na to, że z dobrych szkół galicyjskich wychodzą źli obywatele, a drudzy, utrzymując, że tam się hoduje zastęp niezadowolonych—radzą ograniczyć oświatę. Tak, zastęp niezadowolonych rośnie, nie szkoły ich wszakże kształcą, lecz życie i jego warunki.

Zarzut, który zrobiłem Radzie szkolnej i stronnictwu konserwatywnemu, że dąży do reakcyi, do ogłupienia masy ludowej, ażeby tem łatwiej mogło nad nią panować — nie ja jeden podnoszę. Każdy, kto widzi, dokąd idziemy, łatwo domyśla się, po co nas prowadzą. Zapewne, nie było jeszcze okólnika wyraźnie polecającego znieść szkoły średnie lub zamknąć je dla biednych, ale są czyny i są głosy publiczne w tej kwestyi, pochodzące od konserwatystów — a główny sztab żadnym manifestem nie zaprzeczył temu. Mam tu na myśli projekty „konserwatywne," dążące wyraźnie do obniżenia nauki w szkołach ludowych. Dotychczas mowa była tylko o średnich, które miały jakoby mnożyć w Galicyi „proletaryat umysłowy," teraz wyraźnie uderzono na ludowe. Typ tych ostatnich w Galicyi obejmuje sześć lat nauki. Można zauważyć słusznie, że jest to termin zbyt długi w stosunku do materyału naukowego, zdobywanego przez uczniów, ale autor artykułu — Czacki z Galicyi! — proponuje obniżyć lata szkolne do połowy wcale z innego powodu: oto uważa, że termin sześcioletni nauki „dla włościanina jest za uciążliwy, dla szkoły niekorzystny, a dla dzieci niepotrzebny." Ponieważ przymiotniki uciążliwy i szkodliwy są tylko uzupełnieniem przymiotnika „niepotrzebny" — cała reforma zdąża do tego, że i szkoła niepotrzebna. Niema prawie wątpliwości, że w obozie stańczyków sprawa powyższa nie została postawioną tak jasno, jak jasny jest wniosek z przemówień i głosów publicznych różnych przewódców reakcyi. Projekt wszakże, o którym wspomniałem, bez ogródek dąży do ogłupienia masy ludowej, a wyszedł z łona stańczyków. Jest on balonem próbnym. Autor proponuje wyraźnie nietylko zniżenie lat nauki z 6 na 3, ale także zmniejszenie roku szkolnego z 10 miesięcy na 7½, zasłaniając się tem, że włościanie potrzebują pomocy w polu. Wreszcie oddaje szkołę pod opiekę — któżby się domyślał — „gospodarzom wiejskim," tj. tym wszystkim, którzy najmniej pragną rozwoju szkoły, zaś owi „gospodarze wiejscy," rodzaj kuratorów, podlegaliby kontroli inspektorów. Możnaby te pomysły nazwać projektami Machiavela, ale tylko pod względem chęci ukrycia prawdziwych zamiarów, bo zresztą brak wszystkiego: ducha obywatelskiego, uczciwości i logiki.

Otóż w chwili, gdy okazała się słuszność sądów o smutnem położeniu Galicyi wogóle, gdy ta słuszność objawiła się czynem, gdy pobudki złego już się ukryć nie dadzą, gdy trzeba wszystkie siły umysłowe i finansowe kraju powołać do naprawy złego — stronnictwo rządzące krajem, hołdujące zasadzie zgody z losem, które przez długoletnie rządy to położenie zgotowało, doradza *jeszcze więcej ogłupić chłopów*. Dotychczas metodę powyższą stosowano tylko do zwierząt — zamykano je w klatce. O, brak światła jest doskonałym środkiem uspokajającym!

Cho.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Przeciw złodziejom.

Nieznającym stosunków zagranicznych wydać się może niewiarogodnem, że w narodach oświeconych i dobrze uorganizowanych kradzież jest wypadkiem niezwykłym, że rozboje, napady nocne, grabieże, należą do zdarzeń wyjątkowych, przeciw którym uruchomia się natychmiast nietylko policya, ale łącznie z nią całe społeczeństwo. Po za obrębem wielkich miast, będących wszędzie głównem polem działań rzezimieszków, złodzieje zawodowi pojawiają się tak rzadko, jak u nas wilki, i bardzo krótko mogą grasować wobec formalnych obław, jakie na nich urządzają wszyscy. Tam każdy czuje się zobowiązanym i powołanym do obrony ogółu przeciw łupieżcom wewnętrznym, jak przeciw wrogom zewnętrznym. Policya gra rolę armii stałej, strzegącej bezpieczeństwa publicznego, naród zaś stanowi pospolite ruszenie, które przychodzi jej z pomocą w każdej chwili.

Niewiele jest stron życia, w których przedstawialibyśmy równie wielką różnicę w porównaniu ze społeczeństwami europejskiemi. U nas bowiem złodziejstwo rozpostarło się jak olbrzymi polip, a ogół prawie wcale z nim nie walczy. Weszło ono w obyczaje, oswoiło z sobą sumienie powszechne, korzysta z tolerancyi, nie boi się kary, rozporządza mieniem ludności pracującej i trzyma ją w ciągłej trwodze. Jedni przez brak energii, drudzy przez niedbalstwo, a większość z obawy zemsty ulega łotrom i nie śmie nawet wzywać

przeciw nim sprawiedliwości. Istnieją dziś już całe wsie, których mieszkańcy trudnią się kradzieżą lub przechowywaniem łupów.

Stan ten, który uniemożliwia masom ludności życie i pracę, a jest jedną z głównych przyczyn niemocy i niedoli ekonomicznej, zwrócił nareszcie uwagę władzy. *Warsz. Dniewnik* w osobnym artykule zarysował okropne położenie ludności wiejskiej, która głównie pada ofiarą rabusiów, zaznaczając konieczność energicznego wystąpienia przeciwko tej pladze. W związku z tym głosem organu urzędowego jest świeżo wydany okólnik Naczelnika kraju, polecający gubernatorom przekształcenie urzędów powiatowych o tyle, ażeby naczelnicy straży ziemskiej, uwolnieni od rozmaitych czynności dodatkowych, mogli się staranniej zająć właściwem swojem zadaniem.

„Takie nadmierne przeciążenie pomocników do spraw policyjnych zarówno czynnościami kancelaryjnemi, jak zleceniami po za obrębem zajęć czysto policyjnych — powiada okólnik — niewątpliwie odciąga ich od ważnych i powikłanych obowiązków naczelników straży i policmajstrów powiatu, wskutek czego pozbawione ciągłego dozoru i czynnego kierownictwa ze strony bezpośredniej zwierzchności, niedość świadome swego zadania, a często i niepiśmienne niższe organy straży nie odpowiadają, rzecz prosta, nawet najskromniejszym wymaganiom prawa, a ważny i odpowiedzialny obowiązek policyjny czuwania nad ludnością spada prawie wyłącznie na strażników ziemskich. Wobec tego powiat w gruncie rzeczy pozbawiony jest dozoru policyjnego. Nie ulega wątpliwości, że przy takiej działalności policyi naczelnicy powiatów nie mogą otrzymywać dostatecznych informacyj o stanie ludności, a co za tem idzie, często nie mogą zwracać uwagi na takie objawy życia, które ze względu na warunki miejscowe powinny wywołać szczególnie intensywną działalność administracyi.

Taki stan rzeczy jest nietylko niepożądanym, lecz szkodliwym."

Ustanowienie dwu komisyj, mających zreformować tutejszą straż ziemską, uznanie przez Naczelnika kraju istniejących obecnie stosunków za nieprawidłowe wskazuje, że rozpasaniu złodziejskiemu będą nałożone jakieś cugle.

Taniec koło złego.

Z kilku punktów jednocześnie zaatakowano w prasie sacharynę. Najmocniej natarł na nią p. Osiński w *Gazecie Cukrowniczej*: „Od czasu wprowadzenia monopolu wódczanego — pisze on — cała rzesza b. handlarzów okowity rzuciła się między innemi do wyrobu i sprzedaży rozmaitego gatunku napojów „chłodzących," pod różnorodnemi nazwami: kwasów, lemoniad, soków, wód gazowych itp. Wyroby te zapełniają rynki jarmarczne i niceby nie było w tem zdrożnego, gdyby nie przymieszka do nich niektórych ingredyencyj, natury bardzo podejrzanej. Niewybredny lud spożywa, co mu dają, z ochotą, byleby cena tych smakołyków była dla niego przystępna. Otóż wobec niezbędnie niskiej ceny owych napojów, okazało się nader korzystnem osładzanie ich sacharyną, zamiast cukrem. Domorośli ci fabrykanci, w prostocie ducha, nie podejrzywali nawet, że istnieje produkt, mogący ze znaczną dla ich kieszeni korzyścią zastąpić za drogi do ich wyrobów cukier. Wiedza ich tak daleko nie sięgała. Znaleźli się jednak usłużni pośrednicy i mentorowie w osobach właścicieli i subjektów t. zw. „składów materyałów aptecznych," w małych miasteczkach istniejących. Ci, posiadając na składzie w dowolnej ilości sacharynę, wytłomaczyli z łatwością owym handlarzom, że korzystniej daleko osłodzić łutem sacharyny około 70 wiader żądanego napoju, niż taką ilością cukru zaledwie ćwierć wiadra."

P. Osiński radzi tedy: „1) zawezwać do solidarnego współdziałania Towarzystwa lekarskie i hygieniczne, z natury rzeczy powołane do ochrony zdrowia publicznego; 2) kołatać w sferach decydujących o wydanie prawa, na wzór belgijskiego, podnoszącego cło od sacharyny do wysokości 350 rubli w złocie od puda; 3) wyjednać we właściwych ministeryach okólniki do władz akcyzowych i policyjnych, polecające surowo śledzenie i pociąganie do odpowiedzialności sądowej winnych nadużycia; 4) ogłosić konkurs na opracowanie metody chemicznej do szybkiego i łatwego odkrycia owego preperatu w materyałach spożywczych."

Wszystko to jest bardzo piękne, wymowne, prawdziwe, ale dlaczego projektodawcy środków ratunkowych i zapobiegawczych omijają jeden najważniejszy i najskuteczniejszy, mianowicie zniżenie ceny cukru? Nam się zdaje, że jeśli kogoś istotnie bardzo boli rozszerzanie się śród ludu produktu szkodliwego *), to powinien przedewszystkiem żądać, ażeby produkt pożyteczny, który tamtemu ustąpił, stał się tańszym. Wysokich dywidend od akcyj fabryk cukru i szerokiej jego konsumcyi jednocześnie nie utrzymamy, bo dwa te fakty pogodzić się nie chcą i nie mogą, klasy uboższe potrzebują jakiejś słodyczy, więc muszą i będą zwracać się do tej, która jest dla nich dostępną, chociażby nawet nie była pożywną. Przeciwko tej potrzebie i jej zadowoleniu nic nie wskórają ani artykuły dziennikarskie, ani rozbiory chemiczne wyrobów podejrzanych w laboratoryach — co zaleca *Gazeta Cukrownicza* — ani nawet zaostrzenia celne. Najlepiej więc nie łudzić się, nie przeskakiwać w rozumowaniach tego punktu, na którym zatrzymać się należy i bez objeżdżania kwestyi z daleka powiedzieć prosto: ponieważ sacharyna rozszerza się dlatego, że cukier jest za drogi, więc należy zniżyć cenę cukru. Inaczej zamiast wyrwać złe z korzeniem, będziemy tylko koło niego tańcować. *Kuryer Codzienny*, dotykając tego przedmiotu, zaznacza, że cukrownia Spiczyńce dała 41,91% zysku, Uladówka 15,80%, Kalinka 25%. I jak tu wobec takich procentów dziwić się lub skarżyć na użycie sacharyny, a nadewszystko dla pokonania jej żądać „kołatania do sfer decydujących" o podwyżkę cła do 350 rubli w złocie? Szanowni opiekunowie ludu, trochę mniej odwagi, a więcej skromności!

Wyprawa naukowa z figlem.

Ulubieńcem prasy naszej jest od pewnego czasu „wynalazca" galicyjski, p. Szczepanik. Niedawno puścił on się balonem z Wiednia. Wycieczka to dziś już zwykła i niezasługująca na szerszą uwagę. Ale kilkadziesiąt pism uznało za stosowne rozpisać się o niej szczegółowo dlatego, że podjęta została w celach *naukowych*. I jakież osiągnięto z niej rezultaty? Historycy tej wyprawy opowiadają, że p. Szczepanik zrobił z kimś zakład, iż po wzniesieniu się balonu wyjdzie z kosza i zawiśnie na uczepionej pod spodem linie. Jakoż rzeczywiście ujrzano na znacznej wysokości nad ziemią postać ludzką, która wykonała zamierzoną sztukę akrobatyczną. Był to jednakże tylko figiel, gdyż p. Sz. kazał zrobić podobną do siebie lalkę, którą w stosownej chwili spuścił z balonu i nazad wciągnął. Lalka ta utonęła w jeziorze, gdyż wyrzucono ją jako balast. Jest to *jedyne* doniesienie z tej powietrznej wyprawy *naukowej*. Nam się zdaje, że daleko właściwiej należałoby ją nazwać wesołą lipcówką. Trudno bowiem spodziewać się poważnych wyników po przedsięwzięciu, w którem *badacze* zajmują się takimi figlami.

*) Właściwie nie tyle szkodliwego, ile niepożywnego.

My wobec ogrodów.

Na zarzuty *Kuryera Codziennego* co do nieporządków w ogrodzie Botanicznym, odpowiedział pomocnik starszego ogrodnika wyjaśnieniem, godnem uwagi. Ogród ten jest zaniedbany dlatego, że 1) z powodu braku połączenia wodociągowego basen nie może być odrestaurowany; 2) publiczność wydeptuje ciągle trawniki; 3) taż sama publiczność wyrywa rzadkie rośliny; 4) fundusze są za małe. Rzeczywiście, nawet powierzchowne obejrzenie przekonywa, że śliczne to miejsce nie jest przedmiotem szczególnych starań: nieraz np. dostrzedz można nieociosany siekierą drąg, podpierający drzewko, kępę chwastów, gniazdo robaków itp. Ale z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że nasza inteligentna publiczność, która wymyśla na chłopów, że łamią przydrożne drzewa, a sama niszczy trawniki, kwiaty, kobierce — ta publiczność uniemożliwia utrzymanie ogrodu w pożądanym stanie, o ile nie jest skrępowaną przez legion stróżów. Zdeptać delikatny trawnik, oderdzeć gałąź bzu, zerwać różę, zaśmiecić resztkami jedzenia ulicę, wrzucić w rabaty niedopałki papierosów — to jej zwyczaje, które sprawców nie wstydzą, a świadków nie rażą. Dzięki tym nałogom prawie wszystkie cenniejsze kultury ogrodnicze w naszych ogrodach są dla ogółu zamknięte. Nie wolno wejść do działu naukowego w ogrodzie Botanicznym, nie wolno do drzew formowanych w Pomologicznym, nie wolno — do szkółek miejskich, ogrodów prywatnych, bo wszędzie obawiają się wandalizmu gości. Baryery, płoty druciane, tablice z zakazami— wszystko to jest smutnem świadectwem dla nieobyczajności naszej. Wiemy i ciągle powtarzamy, że własność prywatna jest święta, ale nie chcemy zgodzić się na to, ażeby świętą była własność publiczna. A jednak ta ostatnia reguła stała się dogmatem wszystkich społeczeństw ucywilizowanych.

Niepożądana zagadka.

Warsz. Dniewnik, ogłosiwszy fakt uznania przez lubelskie laboratoryum hygieniczne tej samej wody za właściwą i niewłaściwą do użycia wewnętrznego, zamieszcza szereg niepochlebnych uwag o naszych pracowniach, zajmujących się analizami. Ponieważ fakty podobne zdarzają się często, więc *Dniewnik* dochodzi do wniosku, że „osoby, trudniące się rozbiorami, albo pracują nieuważnie, albo podlegają wpływom zewnętrznym," co staje się bardzo niebezpiecznem ze względu na to, że ich orzeczenia mają często bardzo wielki wpływ w sprawach ważnych (np. sądowych). Niejednokrotnie dotykaliśmy w naszem piśmie kwestyi rozbiorów laboratoryjnych, a głównie tych, które służą za reklamę rozmaitym przedsiębiorstwom, wyrabiającym produkty wątpliwej wartości. Dziś, gdy ta kwestya podniesiona została z innej strony, kładziemy ponownie nacisk na potrzebę większej staranności i sumienności zarówno w interesie nauki, jak w interesie jednostek, które jej służą. Niepodobna zakryć smutnego objawu niewiary do naszych laboratoryów i podejrzywania jednych o niedbalstwo, a innych o stronność. Kto woli zasługiwać na takie zarzuty lub lekceważyć je, może sobie pozostać na złej drodze; mniemamy wszakże, że znajdą się inni, którzy zechcą zarówno naukę, jak godność swoją utrzymać na wysokości, do której nie sięgną żadne posądzenia. Należy tylko o to ciągle się starać i ciągle o tem pamiętać.

Praktykanci fabryczni.

Znane jest rozpanoszenie się Niemców w Łodzi i traktowanie przez nich Polaków pracowników. Znane są liczne fakty zamykania drzwi zakładów przemysłowych przed naszymi fabrykantami, oraz obarczania wyjątkowymi warunkami tych niewielu, których raczono przyjąć. Tę stronę stosunków oświetla *Rozwój* w jednym z ostatnich numerów zapośrednictwem b. praktykanta:

„Ażeby dostać się na praktykę do jakiejkolwiek fabryki, trzeba mieć protekcyę, i to wpływową.

Zainstalowanie praktykanta przez właściciela fabryki, uskutecznia się zwykle poleceniem tegoż nadmajstrowi, ten zaś majstrowi danego oddziału: „Oddaję panu p. X. który będzie u pana praktykował, taki a taki, przeciąg czasu."

Od tej chwili praktykant przechodzi pod władzę owego majstra, i po zwyklej dwutygodniowej próbie rozpoczyna naukę, której przebieg bywa zawsze niemal jeden i ten sam: majster dba bardzo mało o to, czy jego pupil osiągnie jaką korzyść, a właściwie mówiąc, stara się, żeby umiał jak najmniej. W tym celu skąpi objaśnień, skoro zaś młodzieniec pragnie brać się sam do naprawy maszyny lub warsztatu, nie dopuszcza go do tego, usprawiedliwiając odmowę obawą, że wskutek nieznajomości przedmiotu łatwo o zepsucie maszyny lub o inne jakie nieszczęście. Dodajmy do tego niezdrowe powietrze i 11½ godzin ciężkiej pracy, „urozmaicanej" chyba nieprzyjemnościami i szykanami, nietylko ze strony robotników ale i majstrów, których część większa, nie posiadając żadnej oglądy, patrzy niechętnem okiem, na wykształconego praktykanta, zwłaszcza jeżeli ten ma nieszczęście nazywać się na „ski" lub „icz"— nie „berg" „stein," „mann," itp.

„Że młodzież, szczególnie obdarzona słabszym charakterem, zniechęca się nieraz w podobnych warunkach — pisze były praktykant— przekonawszy się, że kilkoletnia praca poszła na marne i przechodzi do innego zajęcia, zrozumie łatwo każdy, kto choć nie odczuł tych stosunków jak ja i wielu innych na własnej skórze, za to przyglądał się im zblizka, a nie z wysokości i à vol d'oiseau."

Jako jaskrawa ilustracya, posłużyć może fakt, który niedawno się zdarzył w jednej z największych fabryk towarzystwa akcyjnego.

Młody człowiek, pan N-ski, po sześcioletniej praktyce miał zająć miejsce majstra, lecz z wstąpieniem na stanowisko dyrektora do owej fabryki rozumie się, Niemca, został wydalony, a za powód podawano zaprowadzenie oszczędności. Tymczasem okazało się, że przyjęto dwóch praktykantów Niemców.

Znośniejszem jest położenie praktykantów przyjmowanych wprost przez majstra, któremu płacą zwykle za naukę od 100 do 300 rubli, co bywa, szczególnie po mniejszych fabrykach, i wpływa naturalnie dodatnio na postępowanie ujętego w ten sposób majstra. Wówczas dopiero praktykant przekonywa się, ile mądrości życiowej ukrywa w sobie zdanie: „Kto smaruje ten jedzie."

Taki hakatyzm, uprawiany dotąd bezkarnie, mogłyby stłumić tylko przepisy inspekcyi fabrycznej.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA

Antoni Miecznik: *Owanes Ohana*, powieść. Warszawa. Emil Skiwski. Str. 269. — Wilhelm Feldman: *Ananke*, kartki chorej miłości. Kraków. L. Zwoliński i Sp. Str. 215.

Żyje się tylko raz, jedynem szczęściem na świecie jest miłość" — powiada p. Kazimierz Przerwa-Tetmajer wswym głośnym „Aniele śmierci." I mimo wszystko, co się w ostatnich czasach pisało i mówiło o potrzebie wprowadzenia do powieści nowych pierwiastków, zbogacenia jej treści niewyzyskanymi w niej dotąd czynnikami, rozszerzenia i pogłębienia jej widnokręgów — mimo nawet prób pojedynczych w tym kierunku, podejmowanych przez najwybitniejsze siły beletrystyczne, zaprzeczyć się nie da, że stosunek miłosny dwu płci pozostaje dotąd dla większości autorów ulubionym, często nawet jedynym motkiem, z którego wysnuwają oni najchętniej misterną niekiedy i zajmującą, ale częściej, niestety, banalną i pozbawioną artystycznej wartości przędzę swych utworów powieściowych.

Heine wyraża się gdzieś o miłości, że jest to stara historya, która wiecznie nową zostaje. I zapewne, biorąc indywidualnie, dla każdego kochającego, a zwłaszcza kochającego po raz pierwszy, miłość jest zjawiskiem nowem, nieznanem i niezmiernie zajmującem. Ale miłość w poezyi, w literaturze, a mianowicie w powieści, jest już rzeczywiście historyą bardzo starą, opowiedzianą tysiąckrotnie przez różne powołane i niepowołane pióra. Może ona wprawdzie pozostać mimo to zajmującą i zachować racyę bytu w beletrystyce, ale pod warunkiem, że powieściopisarz potrafi w tem odwiecznem uczuciu odnaleźć i pokazać naszym oczom jakąś nową, nieznaną, niewyzyskaną stronę, zasługującą na bliższą uwagę i zbadanie, lub że rzuci na szalę tak ważny w każdej twórczości artystycznej czynnik, jakim jest talent duży, prawdziwy, umiejący zawsze najstarsze nawet i najlepiej znane uczucia i zjawiska przedstawić w nowem, oryginalnem i zajmującem oświetleniu.

Są wprawdzie ludzie, którzy, jak dzieci, słuchają najchętniej jednej i tej samej bajki, na drobne tylko zgadzając się jej odmiany, którzy czują poprostu pewnego rodzaju obawę nowości, ochrzczoną nawet naukową nazwą „mizoneizmu," lecz z ich wymaganiami żadna literatura liczyć się poważnie nie może, nie chcąc zatracić przedwcześnie wszelkich cech oryginalności, kręcić się w błędnem kole zwietrzałych oklepanek i wyblakłych oddawna obrazów.

Z dwóch autorów, których świeżo wydane utwory powieściowo leżą w tej chwili przed nami, p. Antoni Miecznik jest, jak się zdaje, nowicyuszem literackim, czemu zresztą przeczy pozornie pewna wprawa pisarska, pewna męskość pióra, cechująca jego powieść. Z nazwiskiem jego, czy pseudonimem, nie zdarzyło nam się w każdym razie spotkać dotychczas na okładce książkowej. P. Wilhelm Feldman, przeciwnie, jest znanym i cenionym autorem, mogącym na swej tarczy powieściopisarskiej wyryć tytuły zajmujących szkiców z życia Żydów („Piękna Żydówka," „Żydziak" i inne), oraz dwóch większych powieści współczesnych: „W okowach" i „Nowi ludzie," wydanych przed kilku laty w Galicyi. Obaj występują obecnie z utworami powieściowymi, poświęconymi przeważnie lub nawet (u Feldmana) wyłącznie analizie uczucia miłości, z utworami niejednakowej wartości, różniącymi się biegunowo pod wielu względami, ale mającymi niewątpliwie, pierwszy może w mniejszym, drugi w większym stopniu, racyę bytu we współczesnej literaturze naszej.

„Owanes Ohana" p. Miecznika — to utwór, treścią swą główną i głębokością analizy psychologicznej niewybiegający prawie po za granice szarej przeciętności.

Pierwsza, napół dziecinna miłość, pełna zachwytów i uniesień, kończąca się związkiem ubóstwianego ideału z kimś trzecim, obojętnym wprawdzie lub nawet wstrętnym, ale posiadającym za to „pozycyę" i dostatek — to temat bardzo stary, wyzyskany w literaturze naszej wielokrotnie, począwszy choćby od „Sielanki pierwszej miłości" Gaszyńskiego. Znamy już również i ojców, lekceważących najgłębsze uczucia swych dzieci, niezdolnych zrozumieć, jak może nie podobać się córce ktoś starszy wprawdzie od niej dwa razy, ale „zdrowy, inteligentny, uczciwy i gładki"; znamy i córki, korzące się po krótszym lub dłuższym czasie przed „świętą wolą" życiodawców i abdykujące wobec niej z najszlachetniejszych porywów serca. Wszystko to, chociaż w danym razie nieźle zrobione, nie jest nowem, „wszystko to już było," że powtórzymy raz jeszcze znany okrzyk starego Ben Akiby z Gutzgowowskiej tragedyi. Nowem natomiast dla nas i ciekawem jest tło utworu p. Miecznika i to środowisko, w którem każe on obracać się swym bohaterom; nową, zajmującą i sympatyczną jest postać głównego bohatera powieści, „zakutego ormianina" Ohany, w drugiej zwłaszcza części jego awanturniczych nieco dziejów.

Rzecz odbywa się w Besarabii, śród tamtejszych przedstawicieli średniej i większej własności ziemskiej ormiańskiego i rumuńskiego pochodzenia. Na tle filisterskiego otoczenia, złożonego z różnych panów Bohdanowiczów, Szymonowiczów, Domaszkanów i Demianowiczów, których jedyną gwiazdą przewodnią jest myśl o powodzeniu materyalnem, jedynym celem życia — najciaśniej pojmowane szczęście egoistyczne, lub co najwyżej — świetna karyera dla dzieci — błyszczą jak cenny brylant, rzucony między różnobarwne kawałki szkła czeskiego, iście oryentalna postać młodego Owanesa Ohany, z tem jego bezgranicznem uczuciem dla ukochanej kobiety z jednej strony, a fanatycznem przywiązaniem do idei ormiańskiej — z drugiej, z tą niestrudzoną energią w ciągu całego życia, ze smutną rezygnacyą wreszcie, z jaką w końcu, zawiedziony we wszystkich nadziejach, opuszcza majątek, nabyty po całych latach upokorzenia, wysiłków, oczekiwania i walki, dla zbliżenia się do ukochanej a poślubionej innemu kobiety, rzuca po raz drugi strony rodzinne i w towarzystwie wiernego przyjaciela, Tigranesa, udaje się znowu na Wschód daleki, między ukochanych „braci hajów."

Za błąd powieści uważać należy wprowadzenie melodramatycznego „czarnego charakteru" w osobie młodego Stefana Bohdanowicza, z jego niedostatecznie usprawiedliwioną nienawiścią względem Owanesa, a dalej zbyt dużą rolę, odegraną przez prosty przypadek w ujawnieniu przed łatwowiernym krótkowidzem Szymonowiczem „występnej" miłości jego żony. Tacy ludzie, jak Owanes, umieją przewidzieć wszystko i wszystkiemu w porę zapobiedz, nie narażając się przedwcześnie na niepowodzenia i zawody, o ile przyczyna tych ostatnich nie kryje się gdzieś głębiej lub nie leży po za obrębem ich wpływów i woli, co widzimy np. przy końcu w stosunku Owanesa ze słabą i niezdecydowaną Heleną.

Do lepszych miejsc utworu należy barwny i żywy opis dwudniowego jarmarku w Otawach; razą natomiast, wobec gładkiego wogóle, ale tylko gładkiego, stylu, pewne niemiłe naleciałości językowe, jak np. krzyczący u literata zwrot: „*Przejeżdżając drogą*, coś mi szepnęło" (str. 150), lub używanie spójnika *a*, zamiast *ale* i *lecz*, po przeczeniach, co widzimy np. na str. 263: „I całował, lecz nie w Szymonowicza, zbladłego, wzruszonego, z zaciśniętemi usty, *a we wronę*." Słuszność zresztą przyznać każe, iż zwrotów podobnych spotykamy u p. Miecznika niewiele.

Jeżeli „Owanes Ohana" jest utworem przeciętnym, mogącym osiągnąć względne powodzenie, dzięki czynnikom drugorzędnym, to natomiast p. Feldman daje nam w swojej „Ananke" zajmujące samo przez się studyum psychologiczne nad dziwnem rozdwojeniem uczucia w szlachetnej niewątpliwie, ale słabej duszy kobiecej, nad „chorą miłością," łączącą i odpychającą zarazem dwie niezupełnie normalne istoty, cierpiące na pewnego rodzaju nadczułość nerwową i nadwrażliwość erotyczną. W literaturze francuskiej i włoskiej spotykaliśmy się z podobnymi typami; w naszej są one nowymi.

Sądząc powierzchownie, Julia p. Feldmana przypomina nieco wyborną Linetę Castelli z „Rodziny Połanieckich" Sienkiewicza. Podobieństwo jednak jest tutaj czysto zewnętrzne, polegające na tem, że zarówno Lineta, jak Julia, będąc narzeczonemi ludzi wyższych, uduchowionych, wpatrzonych w gwiazdy promiennych idei, czują jednocześnie nieprzeparty pociąg fizyczny do zwykłych salonowych samców o gładkiej twarzy i małpich instynktach, którym ulegają w końcu, łamiąc brutalnie życie tamtych. Lecz „Topolka" i „Kolumienka" Sienkiewicza, wyższa niewątpliwie, jako wytwór artystyczny, jest nieskończenie niższym typem ludzkim od Julii p. Feldmana. Lalkowata, a umiejąca tak dobrze pozować siostrzenica pani Broniczowej — to rzeczywiście, jak się wyraża Ignacy Matuszewski w swem studyum o Sienkiewiczu, „istota niesłychanie marna, płytka i głupia," znajdująca w pięknym, jak Antinous, Koposiu odpowiednie pod każdym względem uzupełnienie, gdy, przeciwnie, Julia Gajewiczówna — to przedewszystkiem natura bardzo bogata, wrażliwa i uczuciowa, która działa wprawdzie również pod wpływem ślepego instynktu, nie mogąc się oprzeć złowrogiej „ananke," pętającej dziwnym czarem jej zmysły, lecz przytem sama może cierpi najwięcej nad własną niemocą i poniżeniem, nad ciosem, który zadała *kochanemu* także, chociaż w odmienny sposób, Henrykowi. Będąc uosobieniem znanego okrzyku Hamleta: *Frailty, thy name is woman*, pewnymi rysami przypomina ona raczej przepiękną Krystę Konopnickiej, pokutującą na dnie rzeki za chwilową niewierność względem ukochanego Jantochny...

„I tak zaczęło się to rozdarcie duszy — mówi o bohaterce swojej autor — które zrobiło jej życie sztucznem, zdwojonem, fałszem, a przedewszystkiem męką. Henryka kochała, i nie było poświęcenia, do któregoby nie była dlań gotową i marzyła o tem, aby módz za niego cierpieć, a nawet życie oddać, ale Edwarda pragnęła. Przy Henryku spływało na nią ukojenie, spokój i ufność, przy Edwardzie — upojenie. Uczucia słodkie i tkliwe, jakich doznawała przy boku narzeczonego, mąciły się krwią, rozpłomieniały ogniem — pod wpływem fascynacyi (?) Edwarda, w gorącym wirze zabawy, pod lada silnem podrażnieniem nerwów. Zatracała wówczas siebie, demon „ananki" brał ją w posiadanie, aby potem wydać na pastwę wyrzutów, rozpaczy, wstrętu do siebie samej" itd.

Mamy tu, słowem, do czynienia z typowym objawem „podwójnej miłości," która w rzędzie uczuć ludzkich nie jest może takim mytem niebywałym, jak się wydaje niektórym głośnym krytykom, cierpiącym mądrość duszoznawczą z głów mędrców niemieckich i francuskich.

Z powieści p. Feldmana uczucie to, a raczej wspomnienie jego tylko, doprowadza parę narzeczonych do samobójstwa wspólnego. Julię męczyła każda myśl o pokątnych pieszczotach z Edwardem, przejrzenie własnej natury, „jak przez robactwo toczonej erotyzmem," przejmowało ją niesłychanym wstrętem ku sobie samej. Henryk również nie był w stanie zatruć w swym mózgu obrazów przeszłości. Przyszedłszy do przekonania, że „parą kochanków może będą, parą przyjaciół nigdy," a bez siebie żyć już nie mogąc, zapragnęli oboje ułożyć się dobrowolnie do snu nieprzerwanego, „odpoczywać w spokoju, bez majaczeń, bez widm, bez przebudzeń, raz na zawsze wolni... od siebie samych!" Ostatni ten rys zwłaszcza zasługuje na podkreślenie i uwagę.

„Wyczytali sobie z oczu pytanie i odpowiedź. Anioł śmierci musnął ich skrzydłem i odrazu zwiał mnóstwo pyłu i brudu ziemskiego. Uczuli w sercach spokój i ciszę, jakby już przekroczyli próg zgiełku tego świata. Smutni i milczący przygarnęli się do siebie, dusze ich zatapiały się w bólu i tęsknocie bez wyrazu, w tej jedynej, ogólnej harmonii wszechświata."

Czy zakończenie takie było w danym razie koniecznem? Nie powiemy. Sądząc po ludzku, objektywnej przyczyny do pozbawienia się życia Henryk, ani Julia nie mieli; przyczyna ta jednak tkwi, jak cierń w głębi ich dusz, wskutek czego samobójstwo ich możliwem wydać się musi, jeżeli wziąć w rachubę chorobliwość natur obojga i tę nadczułość ich zwłaszcza, której przedtem tyle już dali dowodów. Tak więc i pod tym względem jest autor w zupełnym porządku.

Z tłumu drugorzędnych figur, które rażą wogóle pewnem skosmopolityzowaniem, brakiem rysów indywidualnych i jakby zawieszeniem w powietrzu, bez ściślejszego określenia, czem są, co robią, do jakiej narodowości należą, wyróżnia się dodatnio wyborna sylwetka genialnej rzeźbiarki Natalis, natury pod każdym względem niepospolitej, nieokiełznanej i wulkanicznej, ale zdolnej zarazem do uczuć najtkliwszych, do wzniosłych poświęceń i porywów, a nienawidzącej wszystkiego, co przypomina czemkolwiek formy przeżyte, szablonowe, łamiące indywidualność ludzką i artystyczną.

Szkoda, że „schyłkowiec" Henryk nie dorównywa w powieści obu kochającym go postaciom kobiecym, wywierając wogóle wrażenie dosyć blade.

Władysław Bukowiński.

LITERATURA ANGIELSKA.

J. Todhunder: *A study of Shelley.* — Andre Chevrillon: *La nature dans la poesie de Shelley.* 1898.

Shelleya cenią niektórzy głównie dla ideałów politycznych i społecznych, które przedstawiał. Ale właściwie w tej dziedzinie nic powiedział on nic nowego. Niezrównana oryginalność jego polega na sposobie pojmowania i odczuwania natury. Różni się on głęboko od innych geniuszów rasy anglo-saksońskiej, samolubnych, skupionych w sobie, upartych w dążeniu do celów określonych. Shelley natomiast jest duchem żywym, lekkim i niestałym: jego osobowość pozbawiona jest wszelkich zarysów jasnych i pewnych; nie jest skupioną w sobie, lecz wciąż się uzewnętrznia i zespala z bytem powszechnym. Ten brak określonego „ja" idzie w parze z niesłychaną wrażliwością. Rzeczy, które nasze oko spostrzega, jako proste i nieruchome, jemu wydają się złożonemi i zmiennemi, chwyta je w ich bezustannych przekształcaniach i w związkach z otoczeniem. Jego krajobrazy nie mają zarysów oznaczonych: wszystko w nich drga, porusza się i żyje życiem nieprzerwanem i natężonem. Jest to wizya świata jednocześnie obszerna i szczegółowa, ujmująca całość i drobiazgi. Shelley jest poetą natury nie w jej bycie, lecz w jej stawaniu się. Gdy W dsworth opisuje w niej to, co jest poważne i skupione, gdy Byron przedstawia strony dzikie, potężne, nieludzkie, Shelley oddaje głównie jej cechy ruchome i przelotne, odblaski wody w świetle księżycowem, przemiany bezustanne obłoków, światła i odcienia zachodu słonecznego, szmer liści, zapach kwiatów.

Jego zachwyty nad naturą są tak natężone, iż wciąż dochodzą do utożsamienia jego samego z nią. Renan mówi gdzieś o tym stanie ducha pierwotnym, gdy człowiek, wyciągając rękę do słońca, woła: „O, słońce, czy jesteś mną?" Dla Shelleya słońce jest nim samym. Jego „ja" jeszcze jest zrośnięte ze światem zewnętrznym i nie zdążyło odeń się odczepić. Dlatego też jest tak wrażliwy na wszystkie drgania i zmiany natury; jego osobowość wciąż do nich się zastosowywa, jego uczucia wciąż w nich się uzmysławiają. A więc kwiat jest delikatny, jak „myśli młodej miłości, która się rodzi," a morze „wydaje okrzyki radości," albo też „rzuca się i skacze, jak w sennem widzeniu." Tak na każdym kroku dusza i natura ludzka łączą się w jedną nierozdzielną całość. Po za każdym szczegółem materyalnym widzi stan duchowy, zupełnie jak to czynił człowiek pierwotny. Spostrzega np. skowronka; zaraz gotów w nim upatrywać ducha, któremu przypisuje własne swe, ludzkie uczucia: „Powiedz mi ptaku, czy duchu, jakie myśli szczęścia są twojemi; nigdy nie słyszałem krzyków miłości, wylewających się falami ekstazy tak boskiej, jak twoja. Serce w dzień ślubu, Pean tryumfalny, porównane z twoim śpiewem, byłyby tylko czczością i pretensyą, w których czulibyśmy jakąś ukrytą troskę. Jakie rzeczy są źródłem twoj radosnej muzyki? Jakie pola, jakie góry? Jakie widoki nieba i doliny? Jaka miłość? Jaka nieświadomość cierpienia? Obok twej pijanej radości żaden smutek nie może się zatrzymać; cień troski nie zbliża się nigdy do ciebie; kochasz, ale nie znasz bolesnego przesytu miłości. W twych polotach i w twych marzeniach sennych myślisz pewno o śmierci; rzeczy tak głębokie i tak prawdziwe, iż my, ludzie, nawet ich przedstawić sobie nie umiemy. Inaczej, w jaki sposób tony twoje płynęłyby takim kryształowym strumieniem? Spoglądamy przed siebie i po za siebie i usychamy w żądzy tego, co nie jest. Nasz śmiech najszczerszy jest ciężki jakiemś ukrytem cierpieniem; nasze najpiękniejsze śpiewy są te, co wypowiadają najsmutniejsze myśli. — Tymczasem, gdybyśmy nawet umieli pogardzać nienawiścią, dumą i strachem, gdybyśmy nie przelewali od urodzenia ani jednej łzy, to i wówczas nie wiem, w jaki sposób moglibyśmy zbliżyć się do twej radości. Twoja sztuka mogłaby być bardziej pouczającą dla poety, niż wszystkie rytmy rozkosznej muzyki, niż skarby zawarte w książkach! Udziel mi połowy tej radości, którą twój móżdżek musi znać, a taki szał harmonii wyrwie się z mych warg, iż świat słuchać mnie będzie tak, jak ja ciebie teraz słucham."

Shelley lubuje się w zjawiskach natury najprostszych: zagłębia się w życiu elementarnem roślin, wiatrów, obłoków,

nieba, a głównie wody. Z rozkoszą śledzi zmiany dnia i nocy, poranku i wieczora, a także następstwa pór roku. Rozumie stan wegetacyi sennej roślin, które powoli rozwijają swe listki, w pocałunkach słońca. „A gdy wieczór zstępuje z nieba; gdy ziemia jest cała spoczynkiem, a powietrze — miłością, w chwili, gdy szczęście jest mniej błyskotliwe, ale o ile głębsze! — ptaki, owady, wszystkie zwierzęta pogrążone są w oceanie milczącego marzenia, którego fale subtelne nie zostawiają w świadomości żadnego śladu. Jeden tylko, ponad kwiatami, słodki słowik się odzywa, coraz słodszy w miarę tego, jak dzień [illegible]ąda i ułamki jego zaklęć rajskich wchodzą w sny mimozy." — „Mimozy, która pierwsza zwiera swe listki w łonie spoczynku, łagodne dziecię znużone szczęściem, najsłabsze i najbardziej kochane ze wszystkich, które się tuli w objęciach nocy." To znowu poezya ta skacze radością i tumultem żywiołów spętanych, które się wyzwalają. Tak, gdy z Prometeusza opadają kajdany, świat cały tańczy ze szczęścia, sosny odnajdują swój głos i zaczynają śpiewać poważne hymny, strumienie i ruczaje rozpraszają się na świeżą muzykę, burze rzucają w przelocie swój śmiech górom. Cała natura przemawia jakąś szeroką, tryumfalną symfonią. Wieczna młodość świata się odradza, ruch przebiega materyę, powołując do życia coraz nowe formy. Niebo, powietrze, ocean, wiatry, góry—wszystko to się ożywia. Wreszcie odzywa się głos, napół jeszcze zaspany, budzącej się do szczęścia Ziemi, przebiegającej przestrzeń gwiaździstą, pijanej ruchem. Jest to wspaniały dyalog, tchnący miłością i zachwytem, pomiędzy ziemią a księżycem.

Jeden tylko Goethe odważał się na takie poloty, ale tylko chwilami. Shelley zaś jest jak u siebie, pośród tych sił kosmicznych, które wprawia w ruch i życie. Są to zwykłe osoby jego dramatu i z taką łatwością, z jaką rozumie mimozę, przedstawia sobie ich życie proste i szerokie.

Natura jest dla Shelleya światem marzenia, woli i uczucia, które zawsze obecne są w zmienności zjawisk przyrodzonych i stanowią wewnętrzną ich istotę. Wszystkie przebiegają szybko całą gamę wzruszeń, od zwykłego wrażenia aż do ekstazy, poczem rozpoczyna się zaraz reakcya, zupełnie jak u samego poety. Właściwie jednak mówiąc, wrażeń natura ta nie ma, lecz tylko niejasne wewnętrzne uczucia, gdyż wciąż pogrążona jest jakby w śnie i marzeniu. W „Mimozie" kwiaty słyszą we śnie kroki pani cudnego ogrodu, rośliny przeczuwają zbliżenie się wiosny, pączki marzą o przyszłym deszczu. Shelley najlepiej też oddaje wysiłki i pracę sił ukrytych w materyi i dochodzi do szczytu swej potęgi twórczej, gdy siły te drzemiące wreszcie się wyzwalają: gdy niebiosa po długiem milczeniu rozlegają się śpiewem tryumfującym skowronka, gdy długo tłumiony gniew burzy nareszcie wybucha.

Wszystkie ciała i zjawiska kąpią się u poety w jakiejś specyalnej atmosferze duchowej, która je przenika i otacza jakby aureolą. Jeszcze krok, a same ciała rzeczy w jego wizyi znikają i mamy już do czynienia z czystymi duchami. Nikt piękniejszymi sylfami i błędnymi ognikami nie zasiedlił natury. Jeden chyba tylko Ariel Shakespearowski posiada ich lekkość i powietrzność. Obok nich Puck lub Tytania wydają się zbyt materyalnymi. Duchy Shelleya nie są widoczne: można tylko odgadywać ich obecność. „Bańki, które magia słońca wyprowadza z bladych kwiatów wodnych, są, jak powiadają, okrętami o atmosferze zielonej i złocistej, zamieszkałymi przez te duchy. A gdy one pękają, wypuszczając powietrze, którem duchy oddychały pod przezroczystą kopułą, wsiadają na przelatujące meteory, kierują nimi, bawią się ich ognistą czupryną i wreszcie giną w płomieniu." Inne duchy są bardziej podobne do człowieka, zawierają więcej uczucia i myśli, ale także z łatwością się rozpływają i mogą przybierać formy dowolne. Takiemi są wszystkie osoby jego poematów, a głównie „Prometeusza."

Tak pomału stają się jego bohaterowie coraz subjektywniejszymi, a wraz z tem i wszechświat jego traci wszelkie określone kontury. Chwilami wydaje się, iż wszystko to zniknie, jak dym, jak senne widziadło. Nic nie istnieje — powiada Shelley — są tylko pozory. Świat cały jest jedną wielką zorzą północną, w której natura i jego własne „ja" spływają się w jednym potoku bezustannego marzenia. Nic dziwnego, iż jego poematy mają za widownię jakieś królestwa nadziemskie, w których piętrzą się aż pod niebiosy fantastyczne architektury niewyraźne i wciąż zmienne, jak obłoki. I wzruszenia tej poezyi są te, które przechodzimy we śnie, radości, smutki i ekstazy bez przyczyny, pochodzące nie wiadomo skąd, niewyraźne i namiętne. Doszedłszy do takiego nihilizmu, który zaprzecza istnienia wszystkiego, Shelley stara się pogodzić go z doktryną wprost odwrotną — z panteizmem. Wszystko istnieje w sposób absolutny, wszystko jest Bogiem.

Panteizm jest wogóle doktryną poetów i umysłów intuicyjnych. Zjawiska, które nam się wydają odrębnemi, w ich oczach łączą się w grupy; jednym polotem wyobraźni sympatyzującej odtwarzają siłę wspólną, która jest istotą wewnętrzną wszystkich zjawisk danej grupy, a także związki ukryte, które je łączą w jedną całość. Inaczej mówiąc, docierają do przyczyn i obejmują całości. Tę wiedzę syntetyczną Shelley posiada w stopniu najwyższym. Nigdy szczegóły jakiegoś krajobrazu nie wydają mu się odrębnymi i niezależnymi. Łączą się one i wiążą, jak rysy twarzy ludzkiej, aby wyrazić jakąś myśl lub uczucie. Gdy Wordsworth w opisach przyrody zastanawia się nad drobiazgami, Shelley unosi się wciąż po nad kulą ziemską, po nad światem, starając się pochwycić we wszystkiem rysy główne i zasadnicze. Na tem właśnie polega zdolność poetycka: na łączeniu w wspólnem życiu faktów i istot z pozoru odrębnych. Rozumiemy teraz, czemu Shelley, którego zmysły spostrzegają tylko zmiany i pozory, będące zaprzeczeniem bytu, jest zarazem panteistą: jego myśl syntetyczna odtwarza wciąż świat, który zmysły zniszczyły.

Wogóle ostateczną filozofię Shelleya można wyrazić tak: w podstawie wszystkich zjawisk naturalnych znajdują się duchy, stanowiące istotę wszystkiego. Duchy te nie są niezależne od siebie, lecz oddziaływają na siebie wzajemnie, przyczem każdy niepostrzeżenie może się zamienić na inny. Duchy te są uporządkowane grupami i całość tych grup stanowi jedność związaną, czyli Duszę powszechną, którą można także nazwać Bogiem. Otóż Bóg ten jest dostępny tylko dla poetów i filozofów, gdyż zmysły nie wystarczają dla jego przeniknięcia. Tylko poeta może objąć i odbudować całość wszechświata. Do tego poczucia całości należy dodać poczucie rozwoju, aby zrozumieć poezyę Shelleya. Ona wciąż zajęta jest tylko procesami rodzenia się i wzrostu. Krążą w niej wciąż soki życiowe. Stronice całe poświęca opisowi wegetacyi roślin, jej dziwnym i głuchym wzruszeniom, gdy z początkiem wiosny ona się budzi do życia. Shelley śledzi ją z troskliwością matki. Rozkwit życia, które jednocześnie się wyczerpuje w ruchach, blaskach, zapachach, dźwiękach, kształtach piękna — oto są główne przedmioty akcyi jego poematów. Głucha nadzieja istoty, która się jeszcze nie porusza, kwiatu w swej pochwie, poczwarki w oponie, ich pierwsze drgnienia, wybuchy szczęścia płynące z wyzwolenia i rozkwitu — oto główne wzruszenia.

Ta poezya panteistyczna wydaje się z początku nudną, ale w miarę tego, jak się posuwamy w samotni Shelleyowskiej, mglista atmosfera marzenia nas porywa i czaruje. W tem powszechnem milczeniu słyszymy niewyraźne drganie i puls przyspieszony życia powszechnego. Do tego Ducha nieprzystępnego Shelley dążył od najwcześniejszej młodości. Alastor wyczerpuje się w pogoni za nim i umiera od żądzy niezaspokojonej. Duch ten, napół martwy pod tyranią materyi — Domogogona, znowu przychodzi do życia w „Prometeuszu rozpętanym," napełniając wszechświat rozkoszą. Jego obecność Shelley wciąż czuł obok siebie i w sobie, głównie w chwili natchnienia; najpotężniej jednak przejawia się on w miłości, przybierając postać kobiecą. Duch ten jest żądzą i miłością, która tworzy świat i organizuje materyę, a zarazem pięknem każdej rzeczy i ogólnej ich całości. W pięknie kobiety i w żądzy, którą ona wzbudza, objawia się Duch wszechświata: myśl ta leży w założeniu „Epipsychidionu."

Występuje on także we wszelkiem pięknie naturalnem, w jęku wiatru jesiennego, w zapachach kwiatów, w zachodzie słońca, w namiętnych dreszczach wody w noc księżycową. Wszystko to są znaki, które zastanawiają nas w biegu życia codziennego, udzielając nam poczucia ciszy i spokoju. Ten spokój święty stanowi akcent niezrównany „Hymnu do piękna umysłowego."

Życie całe, byt ogólny jest tylko rzutem na zewnątrz pozornym i barwnym Ducha: tę myśl Shelley chciał wyrazić w ostatniem swem niedokończonem dziele: „Tryumf życia." Życie jest snem, marzeniem, z którego śmierć nas budzi, jest ona powrotem do głębokiego morza miłości. Nie opłakujmy więc umarłych, nie opłakujmy Adonaisa — woła poeta po śmierci Keats'a. „On nie umarł; nie śpi; on przebudził się z życia... Jego polot uniósł go po za cienie naszej nocy. On żyje; on się obudził." Połączony z Duchem, który drga w materyi i dąży ku formom coraz idealniejszym, teraz bierze udział w tem dążeniu; stał się jednym z promieni tego piękna, które w naturze błyszczy wieczną młodością. „Adonais połączył się z naturą nierozdzielnie. Głos jego słyszeć możemy we wszystkich muzykach świata, w ryku burzy i w śpiewie ptaszyny nocnej. Jego obecność możemy odczuć we wszystkiem, w mroku i świetle, w trawie i kamieniu, wszędzie, gdzie się porusza władza tajemnicza, która go powołała ku sobie." Taką jest ta filozofia natury Shelleya. Niewątpliwie jest w niej czynnik chorobliwy, gdyż poeta ten był halucynantem, który żył bezustannie prawie śród widm. Z drugiej strony zasadnicze jej pomysły zaczerpnięte są rzeczywiście z metafizyki Platona, Fichtego i Schellinga. Ale niezależnie od wszystkiego tego ogólna zasada powszechnej przemiany sił, którą filozofia ta jest przeniknięta, znajduje się w zupełnej zgodzie z współczesną teoryą rozwoju. I dlatego właśnie poezya Shelleya tak jest dostrojona do stanu naszych umysłów. Rozwój filozofii pozytywnej i syntetycznej wysunął tego marzyciela na szczyt poetów naszego wieku. Bez niej on pozostałby niezrozumiany i zapomniany.

Dr. L. Winiarski.

POEZYE

DO CZŁOWIEKA *).

Nieznanej posłuszny sile,
Rzucony na czasu prąd,
Przyszedłeś tutaj na chwilę,
Za chwilę odejdziesz stąd!

Za tobą ciemność głęboka,
Przez chwilę śród światła trwasz,
Nie wiesz, co kryje pomroka,
Gdzie jutro przepadać masz...

Więc nieraz z bólem i trwogą
Musowy swój stawiasz krok:
Zda ci się dolą to srogą
W wieczysty podążać mrok!

Lecz wszak nie byłeś i wczora,
Za Tobą też wieczna noc;
Więc drwij w godzinie wieczora
I ducha zachowaj moc!

A idąc po wązkiej kładce
W pośrodku tych nocy dwóch,
Swój rozum weź za doradcę
I wytęż i wzrok i słuch...

Gdy życie jest krótką chwilką,
Skorzystaj z jasnego dnia,
I co ci się uda tylko,
To wszystko zgłębiaj do dna...

Nie daj zagasnąć iskierce,
Dopóki może się tlić,
Uczuciem napełniaj serce,
Dopóki potrafi bić...

Trzeba rozejrzeć się dobrze,
Nim wszystko okryje cień,
A potem znów zwalczyć chrobrze
Chwilę, gdy skończy się dzień.

Wówczas niech ból cię nie gniecie,
Niech strach nie wykrzywi lic,
Bo można zwyciężyć przecie
Obydne, grożące nic!

Tak, pracuj nad swoją grzędą,
Której użyczył ci świat:
Dla tych, co *jutro* tu będą,
Świetlisty pozostaw ślad!

Leo Belmont.

*) Autor, przebywający w Johannisbadzie (w Czechach), odczytywał właśnie ten swój wiersz, kiedy stał się ofiarą napadu, który odbił się głośnem echem w pismach miejscowych. Obaj rabusie schwytani. *Red.*

SPRAWY EKONOMICZNE

ROZWÓJ ŻEGLUGI MORSKIEJ.

Parokrotnie już powtarzało się nazwisko G. d'Avenela w szpaltach *Prawdy.* W ciągu lat dwóch w jednym z miesięczników francuskich zamieszczał on bardzo ciekawe szkice, poświęcone przedstawieniu mechanizmu obecnego życia ekonomicznego. Niektóre z nich posiadają znaczną wartość, jako zestawienie mało znanego materyału faktycznego, czerpanego z bezpośredniej obserwacyi. D'Avenel należy do umysłów, które przewybornie uświadomiły sobie zasadnicze dążenia tegoczesnej techniki społecznej — parcie ku centralizacyi, taniość usług i wytworów, dostarczanych przez wielkie przedsiębiorstwa, wreszcie doniosłość ześrodkowania wysiłków jako najpotężniejszego środka ujarzmiania sił przyrody. Szkice jego wyszły niedawno zebrane w dwóch tomach. *)

Z pracy autora francuskiego wyjmiemy szkic, poświęcony rozwojowi żeglugi morskiej. Jest to przedmiot, który, w porównaniu ze środkami przewozu na lądzie, mianowicie kolejami żelaznemi, jest traktowany po macoszemu przez ekonomistów. A jednak właśnie wzrost marynarki i wogóle wymiany morskiej stanowi rys zasadniczy naszej epoki historycznej, tak dalece, iż nowsi dziejopisarze, którzy porzucili zdawkowy podział historyi na czasy starożytne, średniowieczne i nowożytne i przyjęli inny: cywilizacyj rzecznych, śródziemnomorskich i wreszcie międzynarodowej oceanicznej, biorą tę stronę życia za miarę napięcia nowego okresu. Według obliczeń statystycznych, pływa obecnie po wodach morskich 47 tysięcy statków parowych i żaglowców, zawierających w swojem wnętrzu około 25 milionów metrów sześciennych przestrzeni. Jest to prawdziwa szósta część świata, ruchoma Oceania, złożona z niezmiernie wielkiej liczby ruchomych wysp z drzewa i żelaza, których zadanie polega na wiązaniu pomiędzy sobą lądów. Wymiana ludzi i towarów, uskuteczniana za pomocą pływających hoteli i wozów, wzrasta z roku na rok, rozwojem swoim torując drogę nowej epoce historycznej, gdy glob ziemski zamieni się na jeden olbrzymi organizm międzynarodowego podziału pracy. Przed dwoma wiekami z Marsylii, podówczas jednego z największych i najruchliwszych portów, wychodziło rocznie 150 statków, wiozących w sumie ogólnej 50 tysięcy tonn towaru; dzisiaj chociaż jest ona z kolei ósmym portem, przecież wysyła 7 milionów tonn, Londyn zaś, pierwszy z portów, aż 21. Smyrna przed laty dwustu była najważniejszym posterunkiem handlowym Europy na Wschodzie. Do jej portu zawijało rocznie 10 statków francuskich i 4 włoskie, Anglia zaś w ciągu lat dwóch wysyłała 78 okrętów! Cyfry te świadczą wymownie o drobnych rozmiarach wymiany już podczas obecnej epoki dziejowej. I ceny transportu były bardzo wysokie. Za czasów Colberta, przewóz tysiąca kilogramów wełny z Bilbao do Nantes kosztował 440 franków, dzisiaj za tę samą ilość towaru, dostarczanego z Australii do Liverpoolu, biorą 20, niekiedy tylko 15 franków! Bezpośrednio przed wojną krymską, za przewóz tonny pakunku z Marsylii do Konstantynopola płacono 200 franków. Obecnie, niema na całym globie takiej odległości morskiej, na którejby trzeba byłoby uiścić równie wysoką taksę, najdalsze pochłonęłyby 50—60 franków za przewóz takiej ilości towaru. Droga od Ameryki południowej do Bordeaux należy do większych, towarzystwo *Chargeurs Réunis* pobiera na niej dziesiątą część centyma od tonny i kilometra. Za towar, przychodzący z Kalkutty do Londynu, płacą $6\frac{1}{2}$ franków od tysiąca kilogramów, akurat tyle, ile trzeba uiścić tragarzom w Paryżu za przeniesienie tej samej ilości od dworca kolejowego do mieszkania właściciela.

Przeglądając rubryki statystyki morskiej, ujrzymy, że wszystkie one ukształtowały się dzisiaj inaczej, aniżeli przed laty kilkunastu. Przewrót w tej dziedzinie nie ustaje, obejmując wszelkie jej strony. Uległa zmianie statystyka portów, statków, żeglugi. Budowa okrętów jest punktem wyjścia. Zastosowanie siły pary, jako motoru, oraz zastąpienie drzewa przez żelazo, obecnie zaś stal, nadało statkom kształty i rozmiary zupełnie nowe. Rozrastają się one w długość i głębokość tak szybko, że porty pozostają w tyle za tym rozwojem, wymawiają miejsce na ulokowanie olbrzymów i powstrzymują dalszy postęp marynarki. Okręty wchodzące do takiego schroniska, zbyt ciasnego i przedewszystkiem płytkiego, muszą zachować tysiączne ostrożności, ażeby czegoś nie rozbić lub same nie uledz nieszczęściu. Swojem zachowaniem przypominają one jedną z bajek *Tysiąca i jednej nocy*: ryba czarodziejska rośnie tam tak prędko, iż rozpycha i łamie wszelkie naczynia, które dla niej naszykowano, i wreszcie zmusza rybaka do puszczenia jej w głębiny morskie.

Postęp techniki żeglarskiej zwłaszcza uwydatnił się w budowie olbrzymów, służących do przewozu podróżnych pomiędzy Europą a Nowym Yorkiem. Taka „Lukania“ liczy 440 osób załogi i w ciągu dnia zużytkowywa około 500 tonn węgli kamiennych. Przed laty sześćdziesięciu okręt, wiozący podróżnych, ażeby przebyć przestrzeń od Hawru do Nowego Yorku, potrzebował miesiąca czasu, zanim wysadził skołatanych i strudzonych podróżników na ląd amerykański. Dzisiaj dla przebycia odległości pomiędzy wymienionem miastem w Stanach Zjednoczonych a portem irlandzkim Queenstown, w którym wielkie parowce zatrzymują się dla wzięcia listów, potrzeba tylko pięciu dni i siedmiu godzin, przyczem podróżny jest zaopatrzony w możliwy komfort, naturalnie jeśli posiada odpowiednie fundusze. Współzawodnictwo pomiędzy liniami parostatkowemi, idącemi z Niemiec, Anglii i Francyi, doprowadziło do walki o godziny — ten statek przyciąga podróżnych, który zaoszczędził choć godzinę przebywania na morzu. Podróżni przywiązują do tego wielką wagę, acz nieraz dziecinną, bo skorzystanie kilku godzin rzadko kiedy przedstawia istotny interes. Zwłaszcza Amerykanie i Anglicy odznaczają się takiem uprzedzeniem. Widziano synów Albionu po kilka dni oczekujących odejścia statku towarzystwa „Cunard,“ chociaż inne parowce odpływały: koniecznie pragnęli oni jechać parowcem o dwie lub trzy godziny będącym krócej na wodach Atlantyku. Firmy parostatkowe jednak muszą brać w rachubę takie fanaberye podróżnych: rozpoczynają się pomiędzy niemi wyścigi, które w krótkim czasie zmieniają i kształty i narzędzia statków. Prędkość statku zależy od siły motoru, napięcie tej ostatniej wzrasta i wzrastać musi w stosunku o wiele znaczniejszym, niż otrzymana szybkość. Parowiec, robiący 19 kilometrów na godzinę, może poprzestać na 2,200 koni parowych; ażeby otrzymać zdwojoną szybkość, tj. 38 kilm. na godzinę, trzeba dziesięć razy powiększyć siłę, tj. użyć motoru o 22,000 koni. „Lukania,“ statek firmy Cunarda, rozporządza na swoim pokładzie siłą 24,000 koni, obecnie zaś projektują zbudować parowiec, który użytkowałby z siły 33 tys. koni parowych, tj. blizko stu tysięcy zwyczajnych! O ogromie siły motorycznej, spotrzebowywanej przez olbrzymy morskie, da wyobrażenie ta okoliczność, iż zakłady Creusot, największa fabryka na globie, wymaga motorów siły tylko 15 tys. koni parowych. Gdyby użyto 21 tys. takich koni, to możnaby podnieść metal, wchodzący w skład wieży Eiffel — siedem z połową milionów kilogramów — w ciągu jednej godziny na wysokość 300 metrów! Maszyny parowe, dostarczające takiej siły parostatkowi, jednocześnie muszą czynić zadość wielu wymaganiom, od których są wolne ich towarzyszki na lądzie. Powinny być one możliwie lekkie i zajmować mało miejsca, bo na okręcie każdy cal sześcienny może dawać dochód, zajęty pod przewóz towaru; nadto muszą posiadać bardzo trwałą budowę, ażeby

*) *Le Mécanisme de la vie moderne.* Paryż u Colin'a. Niektóre ze szkiców d'Avenela ukażą się w bibliotece popularno-naukowej, w której wyszedł *Poradnik dla samouków.*

oprzeć się skutkom morza, opał powinien być zaoszczędzony możliwie, chociażby dlatego, ażeby nie zabierał miejsca. Mniejsza, jak technika rozwiązała te wszystkie trudności. Zaznaczymy tylko, że pomimo wszelkich wysiłków, w miarę wzrostu szybkości statku, jeszcze prędzej wzrastają składy węgli. „Lukania,“ ażeby szruby robiły 80—90 obrotów na minutę, zużywa w tym samym przeciągu czasu 350 kilogramów węgli, co daje na dobę 500 tysięcy! I właśnie konieczność zużytkowywania coraz większych przestrzeni na przechowanie opału stanowi jednę z najgłówniejszych przeszkód dalszego wzrostu szybkości statków.

Maszyna parowa jest jedną z licznych machin, znajdujących się na pokładzie parowca pasażerskiego. Ogół ich dosięga czterdziestu, na statkach zaś wojennych setki sztuk. Dawni majtkowie, wobec takiego rozwoju maszyneryi i zastąpienia przygodnej siły wiatrów przez motor parowy, zniknęli zupełnie z pokładu olbrzymów, przewożących towar ludzki. Załoga nie zna nazwy żagłów, które jeśli istnieją, to tylko jako organ szczątkowy, nie jest przyzwyczajona do innych czynności, niegdyś związanych z zawodem marynarskim i przeniesiona na dawne okręty, nie wiedziałaby, co ma począć. Mechanicy stanowią tam czoło zastępu, palacze itd. główne jądro. Przynajmniej połowę załogi pochłaniają zajęcia przy maszynie parowej, w całości swojej wynosi ona kilkaset osób. „Touraine“ ma 207 osób, „Lukania“ około czterystu. Olbrzymia część służących jest zatrudniona jako kucharze, lokaje, zamiatacze itd. Nawet na lądzie w stolicach hotele, posiadające odrazu po kilkuset gości, mają dużo kłopotu z wydążeniem na czas: cóż mówić o tych pływających przybytkach, w których w ciągu tygodnia i dłużej trzeba wyżywić niekiedy 1,500 osób! Już samo oryentowanie się wśród korytarzy nie jest rzeczą tak prostą i zmusiło zarząd do zawieszenia na rogach tablic: *street Chicago*, *street London*. Parowce zużytkowują w drodze do Nowego-Yorku po 15,000 kilogramów mięsa, 1,500 sztuk drobiu, 46,000 jaj, 7,000 ostryg, 180,000 kilogr. chleba, 31,000 litrów wina i spotrzebowują około 32 tysięcy serwetek, poszewek, prześcieradeł itd. I znowu idzie na to olbrzymia przestrzeń na statku. Taki hotel na wodzie dostarcza pasażerowi możliwych dogodności, ma nawet salony do tańca i stałą orkiestrę.

Zatrzymaliśmy się nad rozwojem tylko statków pasażerskich. Ale i okręty, przeznaczone dla przewozu towarów, również ulegają nieustającemu doskonaleniu, nawet żaglowce nie wyłamały się z pod praw postępu. Technika dosięgła na nich wzorów, o których naszym nawet niedalekim przodkom przez głowę nie przeszło. Swoją drogą, liczba ich zmniejsza się i parowce coraz bardziej rozwielmożniają się, zawdzięczając to naturze motoru, który uniezależnił je od zmiennych kaprysów wiatru. Jeszcze przed laty piętnastu liczono 49 tysięcy żaglowców, obecnie zaś kursuje tylko 37, natomiast liczba parowców wzrosła z pięciu tysięcy do dziesięciu. Tam, gdzie współzawodnictwo uwydatniło się najmocniej, postępy techniki marynarskiej są największe. Dotyczy to zwłaszcza drogi pomiędzy Ameryką północną a Europą. Rok rocznie przejeżdża około 440 tysięcy osób — cyfra to olbrzymia, jeśli zważymy, że cała tak sławna w dziejach wędrówka ludów ku schyłkowi wieków starożytnych nie zdołała jednorazowo uruchomić tak znacznych zastępów. Tymczasem liczba pasażerów pomiędzy Europą z jednej strony, a Australią i całym dalekim Wschodem wynosi zaledwie 67 tysięcy. Ale konkurencya, acz osłabiona, działa i na tych drugorzędnych liniach i daje pobudkę nieustającego postępu: Atlantyk południowy, ocean Spokojny i Indyjski, morze Chińskie z roku na rok oglądają wzory coraz lepsze i przedewszystkiem tańsze. Anglia przoduje temu rozwoju epoki oceanicznej: z całej liczby statków pasażerskich i towarowych 56% pływa pod flagą wielkobrytańską. O znaczeniu Albionu na morzu i zmianie wzajemnego stosunku mocarstw z biegiem czasu dadzą pojęcie cyfry statystyczne, zaczerpnięte z życia kanału Sueskiego. Mianowicie w ostatnim roku przepłynęło tamtędy 3,350 statków, w tej liczbie 2,400 angielskich, 300 niemieckich, 190 holenderskich i 185 francuskich. Tymczasem przed laty dziesięciu statystyka wykazywała 300 okrętów francuskich, 140 holenderskich i 155 niemieckich.

Ze szkiców d'Avenela podaliśmy w poprzednim numerze rzecz, poświęconą towarzystwom kredytowym, przedtem zaś wielkim magazynom sprzedaży detalicznej. Książka jego zawiera nadto prace, poświęcone rozwojowi przemysłu żelaznego, wyrobu papierów, win, jedwabiu, oświetlenia i ubezpieczeń. Prawdopodobnie powrócimy jeszcze do niektórych tematów. *J. W.*

W DALI.

Łódź. Korespondent *Kuryera War.* uskarża się na przeciążenie pracą sędziów pokoju w Łodzi, skutkiem napływu spraw. Za przykład może służyć liczba rozstrzygniętych w pierwszem półroczu spraw przez sędziego 7-go rewiru: *3,640!* Oddawna już istniał projekt, ażeby sekretarze sędziów pokoju zaliczani byli w poczet urzędników etatowych. Dotąd jednak starania nie odniosły pożądanego skutku. — Przy towarzystwie akcyjnem J. K. Poznańskiego ma powstać czytelnia bezpłatna dla robotników fabrycznych. Inicyatorami są pracownicy tych zakładów przemysłowych. — Z d. 13-go sierpnia r. b. wprowadzona będzie wyjątkowa taryfa na przewóz bawełny amerykańskiej i indyjskiej, ze stacyj pogranicznych Aleksandrów i Granica do Łodzi przez Koluszki. — Siedmioklasowa szkoła handlowa w Zgierzu na początek otwiera cztery lub pięć klas, stosownie do liczby i kategoryi kandydatów.

Łomża. *Echa płockie i łomżyńskie* charakteryzują w następujący sposób organizacyę zdrowotną w Łomży: „Istnieje oficyalnie komitet sanitarny, ale tylko na papierze, są nawet członkowie oddzielnych rewirów; być może pisują i protokóły, ale *de facto* o komitecie tym nikt nie wie. Widocznie czeka on jakiej epidemii w rodzaju cholery. Wtedy dopiero ostentacyjnie i dekoracyjnie wystąpi na arenę. Niedawno, z polecenia p. gubernatora, miasto obchodził p. policmajster z inżenierem gubernialnym; sądząc z kompletu tej nadzwyczajnej komisyi, miasto miało być zrewidowanem pod względem budowlanym. Komisya ta obchodziła dzień jeden. Chcąc zbadać stan budowlany, komisya, składająca się z większej liczby członków, miałaby pracę nie na dzień, nie na tydzień, lecz na parę miesięcy. Gdyby w ten sposób popracowano i zdano rzetelne raporty z tego, co znaleziono, to przekonalibyśmy się, że sądy pokoju miałyby robotę parę miesięcy, a i laku na pieczętowanie domów zbrakłoby w Łomży. Szkoda wielka, że do owej komisyi nie powołano lekarzy i choć jednego członka komitetu sanitarnego. Za jednym zachodem możeby zmniejszono te brudy, lub zaradzono zabójczemu powietrzu i zbadano warunki sanitarne. Na ulicy np. Krzywe Koło, od strony ulicy Rządowej, gdzie mieści się biuro policmajstra, najspokojniej, przeszło od pół roku, wylewane są wszelkie brudy i nieczystości przez okno z drugiego piętra. Ściana w tem miejscu prawie zgniła.“

Lublin. Bibliotekarz instytutu nowo-aleksandryjskiego rolniczo-leśnego, p. Krzysztofowicz, na żądanie Cesarskiego Tow. mineralogicznego w Petersburgu od kilku lat dokonywa w gub. Lubelskiej badań geologicznych. Ukończy je w jesieni r. b. Korzystając ze sposobności — pisze *Gaz. Lub.* — rząd gubernialny lubelski postanowił prosić p. Krzysztofowicza o dokonanie badań hydro-geologicznych na terytoryum Lublina i o sporządzenie mapy geologicznej miasta. Mapy takiej Lublin nie posiada, gdyż nikt studyów nie dokonywał. Badania wyjaśnią warunki i charakter wód gruntowych i źródlanych, ich rozprzestrzenienie się na całem terytoryum miasta i skupienie w oddzielnych punktach itd., wykażą, w których miejscach znajduje się margiel, glina, piasek itd., co może mieć ważne znaczenie ekonomiczne przy dobywaniu i eksploatacyi tych materyałów na potrzeby miasta, oraz dostarczy dokładnych danych, potrzebnych do celów hygienicznych itd. Koszty badań owych, wraz ze sporządzeniem mapy, wyniosą 400 rs.

Petersburg. Zakaz zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Poznaniu wywołał komentarze w prasie rosyjskiej. *Swiet* zamieścił w nr. 168 artykuł wstępny tej treści: „W Poznaniu miał się odbyć zjazd lekarzy i przyrodników polskich; na zjazdy tego rodzaju zwykle udawali się przedstawiciele nauki polskiej z Królestwa Polskiego, Galicyi i Poznańskiego; zjazdy te zawsze się odbywały spokojnie i poważnie — a polityka nie odgrywała tu żadnej roli, ani też nigdy nie wypływała na plan pierwszy. Dopiero uroczystości Palackiego w Pradze i Mickiewicza w Krakowie przestraszyły Niemców. Najpierw przeciwko zjazdowi odezwał się Bismarck w swej gazecie, *Hamburger Nachrichten*, w której dowodził, co za straszne skutki pociągnie dla Niemiec zjazd w Poznaniu. Chodziło głównie o przybycie kilku Czechów, oraz przedstawicieli nauki polskiej w Królestwie i Galicyi. Wszystko to daje do myślenia i wskazuje, że Niemcy gotują się do nowej walki z Polakami, zarówno w cesarstwie niemieckiem, jak i w Austryi. Niemcy pruscy i austryaccy pójdą ręka w rękę przeciwko słowiańszczyznie, więc Słowianie w Austryi winni się jednoczyć, zapominając uraz wzajemnych. Dusza zaś nowej Polski winna w tem wziąć udział, wbrew zdaniu starych polityków wrogo przeciw Rosyi usposobionych.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Warszawskiemu związkowi robotniczemu kolej Dąbrowska powierzyła czynności wszelkich wypłat na całej linii (posady płatników objazdowych). Kasę główną w Radomiu ma objąć artel petersburski Szczygliцowa.

Pracownicy w cukierniach. Kilka pism warszawskich podało wiadomość, że w tych dniach właściciele cukierni zgodzili się na podniesienie o 5 rs. miesięcznie pensyi subjektom cukrowniczym, oraz na dwukrotne wychodzenie ich w ciągu tygodnia i że wreszcie zmniejszono liczbę godzin pracy w cukierniach. Byłoby to wszystko bardzo pięknie, gdyby w tem tkwiła... choć odrobina prawdy.

Szkoły. Ministeryum oświaty wyjaśniło, że szkoły miejskie nie mają prawa udzielania świadectw na odbywanie służby w charakterze ochotnika.

— Od nowego roku szkolnego w drugiem gimnazyum męzkiem w Warszawie otwarty będzie oddział równoległy klasy II-ej.

Gospodarka miejska. Z powodu budowy gmachu dla zarządu kolei Nadwiślańskiej, jako donosi *Kuryer Warsz.*, zniknie jeden z ulubionych przez dziatwę skwerów miejskich na rogu Nowego Światu i Alei Jerozolimskich. Na placu Ewangielickim także odcięto część ładnego skweru na budowę gmachu dla Towarzystwa sztuk pięknych, w roku zaś przeszłym zniknął duży ogród prywatny na rogu ul. Hożej i Marszałkowskiej; prócz tego padło mnóstwo drzew w różnych dzielnicach miasta z powodu budowy nowych domów. Takie gwałtowne wyniszczanie roślinności drzewnej w środku miasta odbije się szkodliwie na zdrowiu mieszkańców. Ale spekulacya i interes nie pytają o to.

Dobroczynność. Sąd okręgowy w Warszawie otrzymał do ogłoszenia testament Augusta Hermana, b. urzędnika Banku polskiego, zawierający zapis

90,000 rs. na cele dobroczynne i edukacyjne. Między innemi zmarły przeznaczył dla instytutu głuchoniemych w Raciborzu na Szlązku rs. 15,000, dla uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie 6,000 rs (zapomogi i stypendya). Do rozporządzenia gminy ewangielicko-augsburskiej w Warszawie dla paralityków ubogich 15,000. Do rozporządzenia gminy ewangielicko-reformowanej 5,000. Dla domu Schronienia Feliksa Sobańskiego paralityków w Warszawie 3,000 rs.

Wystawa sztuk pięknych w Łomży. Dla zapewnienia mieszkańcom wrażeń artystycznych i zasilenia biednej kasy miejscowego Towarzystwa dobroczynności utworzył się komitet, który urządza wystawę sztuk pięknych w Łomży od 1 września r. b. Mają być na niej reprezentowane następujące działy: 1) malarstwo, rzeźba, staloryty, miedzioryty i sztychy; 2) meble starożytne i stylowe; 3) artykuły sztuki stosowanej; 4) rzeczy kościelne: 5) srebra i kosztowności; 6) ceramika; 7) dawna zbroja i ubiory dawne; 8) wykopaliska; 9) medale i numizmaty; 10) rękopisy i stare dzieła; 11) hafty i koronki; 12) osobliwości. Przedmioty lub deklaracye nadsyłać należy do 15 sierpnia pod adresem Wiktora Szuwańskiego w Łomży.

Zdrowie publiczne. Ministeryum oświaty postanowiło opracować ustawę normalną kolonij letnich dla uczniów szkół średnich i niższych.

Koleje i komunikacye. Celem rozwoju dróg podjazdowych do stacyj kolei i przystani wodnych, ministeryum postanowiło powołać do współudziału w budowie tych dróg osoby prywatne. Mają być opracowane w tej mierze środki zachęty.

Przemysł i handel. Budowniczy p. Kozłowski i p. Pianko otrzymali pozwolenie zawiązania spółki akcyjnej do budowy domów wyłącznie z mieszkaniami hygienicznemi w Warszawie. Kapitał zakładowy pół miliona rubli.

— Ministeryum skarbu opracowywa przepisy o wydawaniu zaliczeń pieniężnych na warunkach ulgowych włościanom, trudniącym się przemysłem domowym.

— *Kuryer Warsz.* donosi, iż hurtownicy węgli kamiennych otrzymali wiadomość o zamierzonem ponownem podwyższeniu cen węgli przez kopalnie śląskie i krajowe. Podwyżka ma nastąpić z dniem 1 października r. b., tj. po upływie terminu dostawy dla hurtowników warszawskich. Powody tego „szrubowania" cen zarządy kopalniane wyjaśniają wzrastającą płacą górników oraz większymi kosztami wytwórstwa.

Zmarli Emil Hartmann w Kopenhadze, kompozytor symfoniczny.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 17 Іюля 1898 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.